



Cena 5 zł
(w tym 5 %
VAT)
indeks
351245

MIESIĘCZNIK

PROWINCJONALNY

Nr 5
(146)
Radom
wrzesień-
październik
2014



Na okładce:

Pomnik św. Kazimierza w Radomiu
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński
(3.09.2014 r.)

Pismo społeczno-kulturalne
Nr 5 (146)
Radom, wrzesień–październik 2014
cena 5 zł ISSN 1506-5391

Redaguje zespół w składzie:

Anna Skubisz-Szymanowska – redaktor naczelna,
Agata Morgan – sekretarz redakcji,
Mariusz A. Dański, S. Zbigniew Kamieński,
Jerzy Kutkowski, Ilona Michalska-Masiarz, Barbara Pikiewicz,
Michał Płoski, Grzegorz Sasin, Anna Spółna,
Mieczysław Szewczuk, Robert Utkowski

Wydawca:

Miejska Biblioteka Publiczna
w Radomiu
Adres redakcji:
ul. J. Piłsudskiego 12
26-600 Radom
tel.: 48 360 23 67
fax: 48 363 38 18
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl
<http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny>

Skład i przygotowanie do druku:

Mariusz A. Dański

Korekta: Halina Bogusz

Druk: MULTICOLOR

ul. Mikosa 19/2
26-600 Radom
e-mail: multicolor@multicolor.nazwa.pl

Materiałów niezamówionych redakcja
nie zwraca i zastrzega sobie prawo
ich skracania i redagowania.
Jednocześnie zapewniamy
integralność treści i formy
utworów literackich.

Prenumeratę
można zamówić
listownie lub osobiście
(Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Piłsudskiego 12, 26-600 Radom),
jak również
telefonicznie
(48 362 87 88)
i e-mailem
(prom.mbpradom@op.pl)

Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego”
dziękuje Panu Czesławowi Krukowi
za współfinansowanie wydawnictwa w 2014 roku
Biblioteka jest finansowana przez Gminę Miasta Radomia

Od redaktora

„Mecenat – opieka wpływowych i bogatych miłośników, amatorów literatury i sztuki nad twórcami. Na ogół wiąże się to z finansowym wspieraniem tych artystów i ich poczynąń.

Określenie wywodzi się od nazwiska Gajusza Cilniusza Mecenas.

Dawny mecenat dworski, królewski, magnacki, kościelny (szczególnie papieski) zastąpiły w czasach współczesnych formy opieki sprawowanej przez wyspecjalizowane instytucje społeczne, np. fundacje państwowe i prywatne. Wielkim mecenasem sztuki w Polsce był Stanisław August Poniatowski. Finansował liczne przedsięwzięcia artystyczne, wielokrotnie zaciągając w tym celu pożyczki. Wiele osób zarzucało mu (jako królowi) trwonienie pieniędzy na sztukę, gdy brakowało funduszy na wojsko oraz inne potrzeby państwa”.

Tyle Wikipedia i mniej więcej tyleż samo na temat mecenatu Encyklopedia Powszechna PWN.

A my co na to? Głównie chodzi o ustalenie: mecenat jest, czy go nie ma. Radykalnie nastawieni do zagadnienia twierdzą, że żaden mecenat obecnie nie istnieje. Nikt nie daje po to, by realizować samą ideę wsparcia kultury i sztuki. Zawsze dający oczekuje czegoś w zamian. Jeśli nie wielkiej reklamy i poparcia dla swej działalności czy nazwiska, to choćby obecności na liście darczyńców. Zwykle, szczerze dziękuję, wypowiedziane dyskretnie, nie publicznie, nikogo dziś nie satysfakcjonuje.

Regułą jest ustalanie listy zobowiązań obdarowywanego wobec mecenasów jeszcze przed przekazaniem wsparcia. Zdarza się, że darczyńca w ostatniej chwili się wycofuje, nawet nie podając przyczyn swojej decyzji, a działania potencjalnego beneficjenta są tak zaawansowane, również w sferze publicznych wyrazów wdzięczności dla owego niby mecenas, że z nich wycofać już się nie można. Wiem, bo sama kilkakrotnie zostawałam z ręką w nocniku. I na nic mi się zdało porzekadło, że kto daje i odbiera... Wszak niczego nie dał, obiecał tylko. Że na piśmie? I cóż z tego. Na kolejne pisma nie odpowiadał, telefonów nie odbierał, a jeśli odebrał ktoś inny, to mojego mecenas lub upoważnionych do decydowania w jego imieniu nie było akurat. A temu innemu przykro, bardzo przykro, ale o sprawie nie wie i nie może mi pomóc. Przykro to było, ale mnie. I to wściekle przykro.

Jednak zdarzają się światła w tunelu prowadzącym do mecenasów lub, co dzisiaj bardziej popularne, choć oparte na nieco innych relacjach pomiędzy współdziałającym strunami, sponsorów. Mam nadzieję, że teksty opublikowane w bieżącym numerze naszego pisma przekonają o tym Czytelników.

Anna Skubisz-Szymanowska

W numerze

FOTOREPORTAŻ	KAMIENICA ARTYSTYCZNA Mariusz A. Dański	3
SZKIC	O RADOMSKIEJ RZEźBIE POMNIKOWEJ Stanisław Zbigniew Kamieński	6
ESEJ	DRABINA (CZĘŚĆ XII) Michał Płoski	9
PLASTYKA	JESZCZE STOIMY Grzegorz Sasin	12
	„ŁAŻNIA” LATEM Lidia Ziemińska	15
	JULIUSZ NARZYŃSKI, Z WARSZAWY, Z ŁODZI, TYM RAZEM W RADOMIU Mieczysław Szewczuk	16
FELIETON	PANTA RHEI, CZYLI MALARZE, KTÓRYM Robert Utkowski	18
GALERIA	MAŁGORZATA JAGIELSKA	20
WYWIAD	Z PERSPEKTYWY CZASU I KILOMETRÓW... Ilona Michalska-Masiarz	21
RECENZJA	SOŃKA, KTÓREJ NIE BYŁO Anna Spólna	25
TEATR	PRAWDA, DEMON I WESELE W RADOMSKIM TEATRZE Krystyna Kasińska	26
	MIŁOSNA TĘSKNOTA ks. Mariusz Waldemar Turczyk	31
POEZJA	MICHAŁ SOBOL	32
PRO MEMORIA	IDĄC WOLNO PRZEZ CMENTARZ... Marta Wiktorja Trojanowska	34
	ŻALE NAGROBNE	36
	VIE PRIVÉE Grzegorz Sasin	38
KRONIKA	SIERPIEŃ – WRZESIEŃ 2014	39

w Galerii Prowincjonalnej
PRACE MAŁGORZATY JAGIELSKIEJ



Kamienica Artystyczna
Mariusz A. Dański

Jak napisać w kilku słowach o mecenacie? O konkretnym mecenacie. A może raczej o zjawisku, jakim jest Kamienica Artystyczna? Pytanie to tkwi w mojej głowie od kilku dni, a właściwie wieczorów. Za chwilę minie termin oddania artykułu, a w głowie pustka. Lampka na biurku zaczyna filuternie mrugać, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że nic z tego nie będzie... Nic z tego... Czas ucieka.

Kamienica Artystyczna pojawiła się na mapie kulturalnej Radomia w sierpniu 2008 r. Jej właścicielem jest spółka Rewitalizacja, która z pomocą unijnej dotacji wyremontowała niszczący budynek i udostępniła radomskim twórcom na pięć lat świeżo wyremontowane pracownie na poddaszu. Posiadanie pracowni było rodzajem stypendium twórczego, artystów wybierano w konkursie otwartym.

Użytkownicy pracowni nie płacili czynszu, zostali jedynie zobowiązani do regulowania opłat związanych z wykorzystywanymi mediami. Opłaty jak to opłaty, dla postronnych niewielkie, ale dla niektórych twórców stały się barierą, która spowodowała, że część pracow-

ni zmieniła użytkowników, nim minęło pierwszych pięć lat. Na szczęście na ich miejsce zawsze byli kolejni chętni, a sam program okazał się sukcesem i został przedłużony. Z tą tylko różnicą, że obecnie stypendyści użytkują pracownie przez trzy lata. Do dziś stypendystami projektu byli (lub są) plastycy: Grzegorz Kwiecień, Karol Łukaszewicz, Łukasz Rudecki, Małgorzata Strzelec, Dominik Wdowski oraz literat Grzegorz Bartos.

Jakiś czas temu odwiedziłem jedną z pracowni. Centralnym punktem pomalowanego na biało pomieszczenia, wypełnionego blejrami, farbami i pędzlami, jest okno z widokiem na wieżę radomskiej fary. Do dziś pamiętam widok z tego okna. W zasadzie wystarczy, że pojawiam się w okolicy, a obraz odnowionej wieży gotyckiego kościoła oglądanej z perspektywy poddasza pojawia się, niejako mimo woli, przed moimi oczami. Pamiętam chwilę, w której poczułem się tak, jakbym na nowo odkrył tę część Radomia – jego piękniejszą stronę. Zachłannie czerpałem z uroku chwili, która na wyciągnięcie ręki malowała przede mną ob-



fot. S.Z. Kamiński



fot. S.Z. Kamiński



fot. S.Z. Kamiński

raz stworzony przez naszych przodków. I chyba wtedy tak naprawdę dotarł do mnie sens słowa „rewitalizacja”. Czemu o tym piszę? Bo uważam, że Miasto Kazimierzowskie to taki nasz radomski zaczarowany świat, w którym przez chwilę każdy z nas może poczuć się jak Alicja w krainie czarów. Czarów pojawiających się na płótnach, kartkach i w przestrzeni trzech niewielkich pracowni, które ktoś konkretny postanowił udostępnić artystom.

A mecenat... mecenat jest. Cieszy mnie, że w miejscu, w którym bije serce mojego miasta (to historyczne i to „zrewitalizowane”), znalazł się obszar dla twórców. Dobrze wiedzieć,

a może tylko wierzyć, że są ludzie, którzy chcą pomagać w budowaniu tego specyficznego mikroklimatu, bardzo ulotnego i nie zawsze do końca wypowiedzianego.

Mariusz A. Dański

PS

Rwańska 7 to dobry adres dla artystów. Nim pojawiła się w tym miejscu Kamienica Artystyczna, prężnie działało tam Stowarzyszenie „Rwańska 7”, które stanowiło na terenie Miasta Kazimierzowskiego zjawisko samo w sobie. Zbuntowane, pełne pasji i wielu idei. Ale to historia na zupełnie inną opowieść.

O radomskiej rzeźbie pomnikowej (część trzydziesta trzecia) O dwóch pomnikach św. Kazimierza

– realnym i wirtualnym
Stanisław Zbigniew Kamieński



fot. S.Z. Kamieński

Święty Kazimierz z dynastii Jagiellonów został patronem Radomia 31 lat temu, bezpośrednio po stanie wojennym, w ponurym czasie schyłku PRL-u, choć wyczuwalna wówczas schyłkowa atmosfera nie dawała wcale poczucia rychłego upadku ustroju socjalistycznego. Papież Jan Paweł II, dziś również święty w kościele katolickim, odwiedził Radom 4 czerwca 1981 r., kiedy powszechny entuzjazm po zwycięstwie Solidarności w Stoczni Gdańskiej słabł stopniowo, przygasał pod wpływem ataków władzy na działaczy i struktury związkowe, nie pozbawił nas jednak całkowicie nadziei na utrzymanie wywalczonej, może niepełnej, może kalekiej, ale jednak wolności. Wizyta papieża w naszym mieście miała wówczas dla mieszkańców ogromne znaczenie, pamiętam, jak szliśmy na lotnisko, gdzie papież miał odprawić mszę i wygłosić kazanie do radomian, razem z mieszkającą w sąsiednim bloku kierowniczką Miejskiego Wydziału Kultury (należącą do PZPR) Anną Hartramf, bardzo przejętą tym wydarzeniem. Papież musiał zachować atmosferę tej wizyty w pamięci, gdy ustanawiał

świętego Kazimierza duchowym opiekunem Radomia, próbując tym sposobem podnieść na duchu radomian, przygnębionych latami po 1976 r. Mogę domyślać się, że wpływ na papieską decyzję miał ówczesny ordynariusz diecezji sandomiersko-radomskiej, wilnianin, biskup Edward Materski. Przypominam sobie radość moich rodziców, kiedy dotarła do nich ta wiadomość; w Radomiu czuli się przez całe życie jak na wygnaniu; mama urodziła się w Wilnie, a oboje rodzice dzieciństwo i młodość spędzili w Grodnie. Niespodziewanie, poprzez osobę świętego Kazimierza, Radom przybliżył się im do tamtych, opuszczonych z konieczności, zajętych przez sowietów stron. Przypomnę – król lewicz Kazimierz, mieszkając przez dwa lata (1481–83) w Radomiu, sprawował władzę namiestnika w królestwie z tytułem *secundogenitis regis Poloniae*, zmarł na zamku w Grodnie 4 marca 1484 r., a pochowany został w wileńskiej katedrze.

Tamtejszy wizerunek świętego z 1520 r., gdy współcześni mogli nosić jeszcze w pamięci wygląd królewicza, przedstawia go jako patrona

Rzeczypospolitej Obojga Narodów – w lewym górnym rogu obrazu umieszczono herb Polski – orła białego, w prawym herb Litwy – Pogon. Król lewicz Kazimierz ma na tym obrazie trzy dłonie, w dwóch prawych trzyma lilie symbolizujące niewinność. Legenda głosi, że autor obrazu nie mógł zamalować trzeciej dłoni, którą umieścił wcześniej na płótnie jako alternatywne rozwiązanie gestu ręki. Dłoń wydobywała się za każdym razem spod warstwy farby, co zostało uznane za cudowne zjawisko. Nam znane jest bardziej inne przedstawienie świętego Kazimierza, znajdujące się w bocznym ołtarzu krakowskiego kościoła Reformatorów. Obraz powstał najprawdopodobniej w latach 1660–1670, a jego autorstwo przypisuje się gdańskiemu malarzowi Danielowi Schultzowi, który znał zapewne wileński wizerunek namalowany 150 lat wcześniej.

To przedstawienie stało się wzorem dla krakowskiego rzeźbiarza Aleksandra Śliwy (rocznik 1948), autora projektu pomnika świętego Kazimierza, poświęconego 3 marca 2013 r. przez arcybiskupa Zygmunta Zimowskiego na placu przed kościołem pod wezwaniem tego świętego w dzielnicy Zamłynie w Radomiu. Powstanie monumentu nie było jednak przedsięwzięciem tak prostym, jak mogłoby się wydawać; proboszcz tamtejszej parafii, ksiądz Grzegorz Senderski, szukając projektanta pomnika, zwrócił się w tej sprawie do radomskiego rzeźbiarza Wiesława Jelonka, który polecił mu swego kolegę ze studiów w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, obecnego profesora tej uczelni. Aleksander Śliwa podjął się zadania i wykonał gipsowy model postaci świętego w skali 1:2, tłumacząc się jednak stanem zdrowia, zrezygnował z wykucia figury w kamieniu. Autorem rzeźby w docelowej skali jest kamieniarz Józef Dąbrowski z Janikowa pod Ożarowem.

Opowieść przekazywana w tej rodzinie z pokolenia na pokolenie podaje, że protoplastą rodu może być jeden z kilku włoskich rzeźbiarzy, którzy przybyli do Polski razem z królową Boną i osiedlili się w okolicy Ożarowa na ziemi sandomierskiej, bogatej w złoża piaskowca. Nie ma powodu, aby powątpiewać w praw-

dziwość opowieści i ciągłość genealogiczną rodziny, jednak trzymetrowa rzeźba z kremowego piaskowca nie jest wybitnym dziełem, którego można by spodziewać się po potomku włoskiego rzeźbiarza przełomu XV i XVI w. Figura jest sztywna, głowa jakby zbyt duża wobec całej postaci, twarz pozbawiona wyrazu spogląda na świat martwymi oczami. Można natomiast mówić o powadze przedstawienia, o hieratycznym charakterze postaci na cokole, o ikonograficznie uwiarygodnionym wyglądzie sylwetki świętego. Jednak autorstwo dzieła, rozdzielone pomiędzy barokowego malarza, krakowskiego rzeźbiarza i kamieniarza z okolic Ożarowa, nie dało imponujących rezultatów; być może znajduje tu zastosowanie porzekadło o sześciu kucharkach, choć widać, że wystarczyć mogły i trzy. Profesor Śliwa próbował nadać indywidualny, bardziej wyrazisty rys gotowej już rzeźbie po jej odsłonięciu, podkuwał własnoręcznie formę, ale nie zmieniło to zasadniczo jej charakteru. Myślę też, że ogólnemu wrażeniu nie sprzyja fakt, że cokolwiek został wykonany z tego samego kamienia co sama postać, tworząc z nią zbyt skomplikowaną eklektyczną formę.

Niezależnie jednak od tego, jak można postrzegać rzeźbiarską formę figury świętego, jej artystyczną wartość, mamy w Radomiu od ubiegłego roku monumentalny pomnik królewicza Kazimierza i miejsce, gdzie możemy świętować imieniny patrona miasta, tzw. Kaziki, w odróżnieniu, ale i w nawiązaniu do wileńskich Kaziuków.

Jak gdyby równolegle do opisanej tu historii wystawienia pomnika patrona Radomia toczy się druga narracja, w której zarys pomnika św. Kazimierza zjawia się wyraźniej lub słabiej, na pierwszym planie lub w tle, narracja wkraczająca do realnej rzeczywistości chwilo-wo i znów wycofująca się do sfery zamiarów i oczekiwań. Historia wirtualna, biorąca swój początek w realnym skądinąd fakcie powołania do życia w Radomiu siedem lat temu Stowarzyszenia Jagiellońskiego. 3 marca 2008 r., w czasie obchodów Dni Kazimierzowskich, pre-

zydent Radomia Andrzej Kosztowniak podpisał razem z prezesem stowarzyszenia Wiesławem Mizerskim „deklarację zamiaru wzniesienia pomnika ku czci św. Kazimierza”. W wyniku podpisania owego dokumentu na placu Jagiellońskim pojawił się i wisiał tam przez czas dłuższy transparent z napisem: „Tu stanie pomnik Patrona Radomia i Wilna Królewicza Św. Kazimierza – pomnik świetności i dumy Radomia za czasów Jagiellonów” (pisałem o tym obszerniej w nr 6/141 „MP” w roku ubiegłym).

Na stronie internetowej Stowarzyszenia Jagiellońskiego można przeczytać zdanie z niedatowanej wypowiedzi prezydenta Kosztowniaka: „O wyglądzie pomnika zadecydują sami radomianie, wkrótce zostanie ogłoszony konkurs plastyczny”. Zastanawiam się, jak pogodzić obie części tej wypowiedzi – rygory konkursu, poszukiwanie ambitnego rozwiązania artystycznego z dopuszczeniem do głosu tzw. szerokich oczekiwań i wyobrażeń w tej sprawie mieszkańców miasta.

Swego czasu, nie pamiętam dokładnie kiedy, obiegała Radom sensacyjna wieść, nie wiadomo gdzie mająca swoje źródło, o wystawieniu w miejscu dawnego pomnika wdzięczności Armii Czerwonej kilkunastometrowej wysokości monumentu Jagiellończyka na koniu. Pomysł fantastyczny, porównywalny jedynie z pomysłem lądowiska dla śmigłowca na dachu Mazowieckiego Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia” autorstwa dyr. Belowskiego („Architektura – Murator” nr 8/2014). Na szczęście słuch o obu pomysłach, wartych siebie nawzajem zaginał.

W ciągu ostatnich trzech lat miasto dwukrotnie ogłaszało konkurs na zagospodarowanie placu Jagiellońskiego, jednak tak za pierwszym, jak i za drugim razem sąd konkursowy nie znalazł wśród zgłoszonych propozycji satysfakcjonującej organizatorów koncepcji rozwiązania urbanistyczno-architektonicznego tego miejsca. Wśród 16 ogólnych założeń drugiego konkursu, które należało wziąć pod uwagę, na miejscu ósmym wymieniony został pomnik św. Kazimierza Jagiellończyka,



fot. S.Z.Kamieński

pomiędzy przestrzennym zamknięciem zaplecza szkoły pielęgniarskiej na miejscu siódmym a atrakcyjnym elementem wodnym na miejscu dziewiątym. Według koncepcji przedstawionej przez radomską pracownię Ryzalit – Architektura i Psychologia, która uzyskała trzecią dopiero, ale najwyższą nagrodę, ex aequo z projektem z Łodzi – nie przyznano nagrody pierwszej i drugiej – pomnik patrona miasta miałby przybrać, popularną obecnie, formę ściany (nazywam ten typ rozwiązań „pomnikami z metra”). Na zamieszczonej w lokalnym wydaniu „Gazety Wyborczej” (31 lipca 2014 r.) wizualizacji sylwetka św. Kazimierza pojawia się na pionowym ekranie czy monitorze, kojarząc się raczej z tzw. ikoną popkultury niż przedstawieniem świętej osoby. Pomnik elektroniczny? Nie wiem jednak, jaką należałoby znaleźć formę i jaką zastosować technologię dla przekonującego współczesnego przedstawienia świętości połączonej z polityczną rozważą, aby jego przesłanie miało moc przemawiania do ludzi.

W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Radomiu przy ul. Piłsudskiego zaprezentowane zostały tego lata wszystkie propozycje zgłoszone do drugiego konkursu, omawiał je Stanisław Bochyński, dyrektor Miejskiej Pracowni Urbanistycznej i zarazem przewodniczący sądu konkursowego. Byłem ciekaw koncepcji usytuowania pomnika w projektach zgłoszonych na konkurs, ale nie dostrzegłem żadnego naprawdę ciekawego rozwiązania tej kwestii. Odniosłem wrażenie, że w żadnej z przedstawionych propozycji pomnik świętego nie znajduje dla siebie miejsca, nie wpisuje się przekonująco w tamtą przestrzeń, nie nawiązuje relacji z architekturą budynków otaczających plac. Również z perspektywy historycznej owa lokalizacja nie ma uzasadnienia; domysły, że tędy mogło przechodzić bydło dla taborów wojsk polskich zdążających na bitewne spotkanie z zakonem krzyżackim w 1410 r. nie wydaje się argumentem przekonującym do ustawienia w tym miejscu pomnika wnuka Władysława Jagiełły. Jedną z propozycji konkursowych odnosi się z poczuciem humoru do tej malowniczej opo-

wieści, ustawiając na tle ściany Galerii Słonecznej schematyczne sylwetki kroczących wołów, jedna za drugą. Jeśli zaś za takim usytuowaniem ma przemawiać obecna nazwa placu, to jest to argument pozorny, bardziej predestynowane do owej lokalizacji są okolice dawnego zamku i kościoła farnego, czy choćby plac, nomen omen, św. Kazimierza.

Wirtualny pomnik istnieje od kilku lat w sferze bardziej lub mniej konkretnych deklaracji, wyobrażeń, projekcji i wizualizacji, pojawia się w wypowiedziach działaczy i polityków, gdy chcą wzmocnić swój wizerunek w oczach lokalnej społeczności. Jak długo plac Jagielloński czekał będzie jeszcze na swój pomnik? Czy okaże się nim słynny, a jednak niebudzący powszechnej aprobaty „Powiew” Macieja Szańkowskiego, czy może pomnik poświęcony Leszkowi Kołakowskiemu albo Witoldowi Gombrowiczowi? Kto i kiedy spróbuje podjąć wreszcie decyzję?

Stanisław Zbigniew Kamieński
6.08 Wola Batorska – 21.09.2014 r.

Z notatnika malarza ikon Drabina (część XII)

Michał Płoski

O kłamstwie czarniejszym od nocy i straszniejszym od wojny śpiewał Bułat Okudźawa. Ściślej, określenia te odnosiły się do „trzeciego kłamstwa”, bo pierwsze przyjmujemy z niedowierzaniem jak żart, drugiemu towarzyszy zawód i gorycz; dopiero trzecie ujawnia w pełni swą mroczną naturę.

Rozdział XII *Drabiny raj*, zatytułowany „O kłamstwie”, jest kontynuacją poprzedzających go rozważań o wielomówności i milczeniu. Św. Jan Klimak ma za sobą doświadczenie życia mniszego, a więc jego rozważania biorą pod uwagę relacje zachodzące w małej spo-

łeczności. Święty zauważa, że „kłamstwo jest płodem gadatliwości i błazeńskiej wesołości”¹. Zaleca, aby unikać szkodliwych opowiadaczy lub aktywnie przeciwstawiać się ich zachowaniom. „Jeden kłamie dla swawoli – pisze Klimak – drugi przez upodobanie w przyjemnościach, inny by pobudzić obecnych do śmiechu, a jeszcze inny, żeby knuć przeciw bratu i mu zaszkodzić”. Zdaniem świętego na usprawiedliwienie

¹ Wszystkie cytaty św. Jana Klimaka pochodzą z: św. Jan Klimak, *Drabina raj*, tłum. W. Polanowski, Kęty 2011, Wyd. M. Derewiecki, s. 188, 189.



fot. S.Z. Kamiński

nie zasługuje również kłamstwo popełnione w celu osiągnięcia dobrego skutku. Klimak potępia kłamców, uważających się za naśladowców Rachab, która powiedziała nieprawdę, aby ocalić wywiadowców Jozuego i swoją rodzinę (por. Joz 2, 1–21). Należy przede wszystkim wyeliminować obłudę i fałsz z naszego codziennego życia. Święty kładzie na to szczególny nacisk, a zdaje się być bardziej wyrozumiały dla tych, którzy skłámali w wyjątkowych sytuacjach – „pośród strachu i w krytycznej okoliczności”. Każde kłamstwo jest jednak przeszkodą w drodze duchowego rozwoju. Zasadniczym celem pokonywania kolejnych szczebli drabiny jest zjednoczenie z Chrystusem. Życie zgodne z normami etycznymi ma pomóc w drodze ku Temu, który jest Prawdą. Należy więc eliminować kłamstwo, gdyż jest ono przeszkodą na tej drodze. Klimak pisze, używając właściwych mu mocnych słów: „kłamstwo jest zagładą miłości, a wiarołomstwo zaparciem się

Boga”. Kłamstwo jest więc nie tylko złamaniem użytecznej w relacjach międzyludzkich normy etycznej, jest ono, powtórzmy raz jeszcze za igumenem monasteru „Gorejącego krzewu”, zagładą miłości.

Przywołana na wstępie piosenka Okudźawy nosi tytuł „Trzecia miłość”. Trzy miłości są tu paralelne do trzech kłamstw. Ta trzecia właściwie nie jest już miłością. Pieśniarz kwituje ją zwięźle: „walizka w ręce – klucz w zamku”. W puencie tej krótkiej piosenki pojawia się wojna – „tej trzeciej winien będziesz ty”. Kłamstwo niszczy nasze życie, nasze intymne relacje i także te o skali ogólnoludzkiej, niesie zagładę miłości, wojnę, śmierć.

Lapidarna treść piosenki powraca do mnie w tych dniach. Trwa dziwna, bezsensowna wojna na wschodzie Ukrainy; u jej źródeł są kłamstwa władających Rosją, kłamstwa coraz bardziej cyniczne i bezczelne, spotęgowane przez aparat propagandy państwa, które zdaje

się powracać ku swej totalitarnej przeszłości. Oto trzecia wojna z piosenki o trzeciej miłości, o związku pomiędzy życiem każdego z nas a losami świata; o związku pomiędzy przyjęciem kłamstwa, lekceważeniem prawdy i wojną.

Profesor Leszek Kołakowski poświęcił jeden ze swych esejów problematyce kłamstwa i prawdy. Tytuł nawiązuje do rozważań średniowiecznych teologów: „Diabeł kłamie również, kiedy mówi prawdę”. To zaskakujące stwierdzenie staje się czytelne w kontekście doświadczenia zorganizowanych systemów kłamstwa w totalitarnych państwach, gdzie prawdy cząstkowe służą jedynie uwiarygodnieniu kłamstw. Inną ciekawą uwagą Profesora jest stwierdzenie, że prawda utwierdzona przemocą przestaje być prawdą, staje się skamieniałym dogmatem. Jest to oczywiste, jeśli spojrzymy na dynamiczny rozwój nauk, które w poszukiwaniu prawdy stale rewidują dawne stwierdzenia. Jak jest jednak w wypadku religijnych prawd objawionych, z definicji nieomylnych? Czy i w tym wypadku utwierdzenie ich przemocą może je pozbawić prawdziwości? L. Kołakowski uważa, że możliwa jest obrona różnorodności i wielości interpretacji, również z punktu widzenia wiary w słowo objawione. Swoboda tłumaczenia i badania sprzyjają umocnieniu wiary i rozwojowi chrześcijaństwa; podczas gdy ekskluzywizm, skostnienie wynikające z obrony nienaruszalnego depozytu – wręcz przeciwnie, powoduje zamknięcie i obumieranie. Prof. Karol Tarłowski, odnosząc się do sytuacji we współczesnym kościele katolickim, mówi: „Gdzie lęk o ortodoksję zaczyna dominować nad otwartością na rzeczywiste problemy ludzi, tam kościół jest sparaliżowany”. W tym samym wywiadzie filozof i przyjaciel Jana Pawła II zauważa: „Prawda jest horyzontem pytań i czynów człowieka. Problem w tym, że prawda nie zawsze jest podana na tacy, raczej jest uwikłana w rozmaite hermeneutyki – także wewnątrz kościoła, który odczytuje Objawienie. Samo pojęcie prawdy jest wielką wartością. Trzeba wierzyć w prawdę i trzeba

do niej dążyć, ale to nie znaczy, że zawsze łatwo ją określić”².

Katechizm Kościoła katolickiego traktuje o kłamstwie w artykule dotyczącym ósmego przykazania, zamykając rozważania częścią tytułowaną „Prawda, piękno i sztuka sakralna” (KKK 2500–2503). „Bóg zanim objawił się człowiekowi w słowach prawdy – czytamy – objawia mu się w uniwersalnym języku stworzenia, dziele swojej Mądrości, w porządku i harmonii kosmosu”. Z kolei człowiek „stworzony na obraz Boży” (Rdz 1, 26) może wyrażać prawdę przez swoje dzieła.

Thomas Merton jako mnich kontemplatywnego zgromadzenia prowadził rozległą korespondencję z wybitnymi artystami, pisarzami, poetami, którzy stawali się jego przyjaciółmi. Widział w nich sojuszników w odkrywaniu i obronie prawdy. W czasie kiedy Borys Pasternak został usunięty ze Związku Pisarzy Radzieckich i poddany niezwykle brutalnej nagonce, Merton pisał do niego: „Oby odnalazł Pan znowu w sobie głęboką życiodajną ciszę, która jest autentyczną prawdą i źródłem prawdy, gdyż jest ona źródłem życia i oknem na otchłań wieczności i Boga”³. Owa głęboka, życiodajna cisza wpisana jest również w duchowość ikony, która łączy w sobie głoszenie wiary z wypowiedzią artystyczną. Jest znakiem Bożej prawdy w podobnym sensie jak sakramenty czy liturgia, której jest elementem. Ikona jest jednocześnie drogą odnajdywania prawdy poprzez formę plastyczną, przez działanie artystyczne. Refleksja nad jej fenomenem może wspierać otwartość względem twórczości artystycznej Mertona czy Jana Pawła II, autora „Listu do artystów”.

Wróćmy jeszcze do eseju L. Kołakowskiego, w którym zaakcentowany jest walor różnorodności kultury europejskiej, rozkwitłej w efekcie różnorodności narodowych tradycji, języków, wyznań. Dane nam są jedynie prawdy cząstkowe, które winniśmy konfrontować z prawdą-

² „Tygodnik Powszechny”, nr 29/2014, s. 30.

³ Thomas Merton, *Życie w listach*, tłum. Aleksander Gomółka, Poznań 2011, Wyd. „W drodze”, s. 145.

mi wyrosłymi na innej kulturowej glebie, stale pamiętając, że posiadaczem prawdy w jej pełnym wymiarze może być tylko umysł boski. Prof. Kołakowski zamyka swoje rozważania refleksją na temat dialogu prawosławno-katolickiego, stwierdzając, że nie jest on możliwy bez dyskusji nad zarysowanymi w jego esejach problemami. Píše: „Nie będzie to dyskusja łatwa ze względu na wielowiekowe odgraniczanie się, podkreślanie różnic i konfliktów, powodujących w wielu wypadkach wzajemną nieufność rzutującą nawet na obecny kształt stosunków politycznych i gospodarczych. Rzeczą oczywistą jest jednak także potrzeba pogłębionego dialogu teologicznego. Zobowiązanie do jedności widzialnej kościoła wypływa z Ewangelii. Im szybciej ten dialog się zaczyna, tym większa jest szansa na uniknięcie często jakże brzemiennej w tragiczne skutki błędów przeszłości”⁴.

⁴ Leszek Kołakowski, *Czy Pan Bóg jest szczęśliwy i inne pytania*, Kraków 2009, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, s. 293.

Jeszcze stoimy

Grzegorz Sasin

Pośrodku sali samotna figura uderzana dźwiękami niepokojącej muzyki: „Misericordia” Sylwestra Ambroziaka. Taką samą postać odnajdujemy w sali projekcyjnej. To eksperymentalna animacja zatytułowana „Mesjasz”. Figura znajduje się w pieszczotliwych rękach, w których nagle pojawia się dłuto. I pieczołowicie nacina fakturę rzeźby: cieknie krew z różnych porów ciała. Ból...

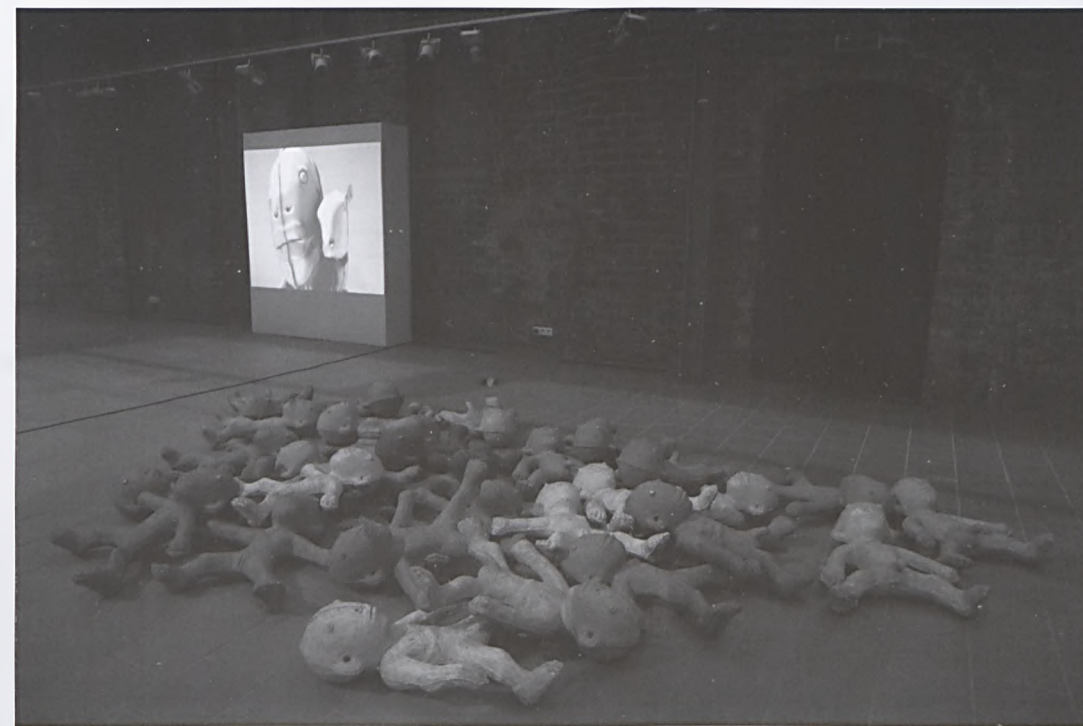
„Ból jest tylko zapisem cyfrowym” – głosi napis na ekranie.

Negacja cierpienia. Nieruchoma, milcząca rzeźba, która w pustej sali chce wyjść poza muzykę, znaleźć z głuchymi, dzwoniącymi dźwiękami porozumienie, odnajduje w filmie łagodną dłoń, która zadaje rany.

Notuję te słowa w chwili rozgrywającej się tragedii – za naszą wschodnią granicą giną ludzie. Nadzieje, niedawne przecież, na rozwinięcie i pogłębienie dialogu z Rosją w wymiarze kulturalnym i religijnym – zgasły. Trudno dziś o optymizm, a jednak chciałbym zakończyć te rozważania o kłamstwie dobrym wspomnieniem z lat mojej młodości, lat kłamstw obowiązujących i obowiązkowych w duchu „braterskiego sojuszu ze Związkiem Radzieckim”. Właśnie z owego ponurego kraju dobiegał nas wówczas ciepły, cichy głos Okudźawy, w którym czuło się coś w owych czasach rzadko spotykanego: prawdę. Śpiewał: „Nadziejo materko – przecież jeszcze nie jeden pozo stał ci syn!”⁵.

Michał Płoski

⁵ Bułat Okudźawa, „Bardzo proszę, opuście niebieskie kotary”, przekł. Tadeusz Lubelski.



■ Sylwester Ambroziak „Rzeźba, animacje”, Centrum Sztuki Galeria EL, Elbląg, wrzesień 2012

fot. S. Z. Kamiński

ny Golem za sprawą magii rabiego Lewiego. A więc człowiek też rusza się za sprawą animacji? Jestże ta figura człowiekiem, symbolem człowieka czy Mesjaszem? – od urodzenia do śmierci martwym. Albo też każdy rodzi się Mesjaszem, potencjalnym zbawcą, dopóki życie nie sprowadzi go do roli niewolnika. I wtedy spowity w całun popłynie łodzią przez Styks w krainę zapomnienia.

Litość i obrzydzenie. Pusta figura, człowiek-symbol niesie na ramieniu baranka w animacji pt. „Baranek”. Ujęty w kwadratową płaszczyznę przenika w przestrzeń zamkniętą, ograniczoną: ludzie na klęczkach, powiązani jak świny idące na rzeź. Modlą się, błagają. Baranek płacze, rodzi się niemowlę, różowiotkie takie na tle szarej faktury kadru. Baranek płacze, a z boku jego towarzysza płynie krew. Purpura i szarość ziemi. Bezlistne, poszarpane kikuty drzew „modlących się” wyciągniętymi ku niebu konarami – wokół śnieg, lodowa pustynia.

Baranek płacze a ludzkie figury umierają.

Rozległość horyzontu ziemi. Czarnej i szarej, takiej jak zawsze: „Łąka”. I wtedy krótki odbłask, błysk łąki: zieleni różnokolorowa. Zieleni i barwa każdej łąki wiosenną porą, letnią porą. Nie ma już łąki. Dół. Do dołu są wrzucane ciała, małe, duże, mniejsze. Nad dołem nogi, i potem strumień moczu. Ofiary są niczym. Oprawcy wszystkim. Czyżby? Wszyscy są wszak martwi. I jednych i drugich nic nie ocali. Przyjmie tylko matka ziemia, ukryje ich prochy, z których wyrosną trawa, kwiaty, chwasty – kolorowy świat dziecka i malarza: „Łąka”.

Łąka, nad którą potężniejący głos megafonu głosi zagładę światu, ludziom. Charkot megafonu przesiąknięty nienawiścią do wszystkiego co żywe, barwne – ruchome. Figury potężnieją, sypie się na nie ziemia. Nie ma ich. Wrócą jako trawy, kwiaty, chwasty...

„Pokój”. Cała przestrzeń filmu to cztery gołe ściany. A w nich małe, zrozpaczone figurki ludzkie. Puste oczodoły błagają o litość. O wyzwolenie. Klaustrofobia. Ta ciasnota, brak powie-



■ Sylwester Ambroziak „Misericordia”, Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria „Łaźnia”, Radom, wrzesień 2014

trza ogarnia też widza. Daremność postawy na klęczkach. Ofiary nie budzą współczucia u kata. Tylko pogardę i śmiech. Jedna głowa, druga, figurki ruszają do ataku na ścianę, wszystkie ściany. Wreszcie bunt. Przeciw katom. Przeciw klaustrofobii świata. Próba ucieczki, wyjścia poza pustkę, aby wypełnić formę życiem. A nuż się uda...

Więc może świat nie skończy się „jękiem i skomleniem”? Trzy filmy są jednoznaczne: człowiek to ofiara już z racji urodzenia. Człowiek to niewolnik, sługa, który nie chce walczyć, woli cierpieć, znosić ból. Nie chce szczęścia. Jest masochistą.

Trzy filmy są niejednoznaczne: człowiek to ofiara, która przez swój upór zwycięża katów, mimo że kaci wciąż tną jego ciało, zabijają, wrzucają do dołów, sikają na swe ofiary. Ale człowiek wciąż się rodzi jako to różowe niemowlę, a katów nie przybywa. Bo z zabitych ciał, ziemi złożonych, wyrastają nie tylko trawy, kwiaty i chwasty, ale też ludzkie nasiona – kolejne fale „Kaźdych”, „Everymanów”.

I być może buntowników, jak sygnalizuje film czwarty, tj. „Pokój”. Ale czy ci buntownicy, gdy już rozbijają głowami ściany swego więzienia, zdolają się zbawić? Wyjść poza pogląd, że życie to jedno cierpienie, nieszczęście. Po prostu misericordia – bieda i nędza. „Ale dlaczego ci nędzni, biedni chcą wtłoczyć się w sumienie szczęśliwych, tak że ci pewnego dnia poczęliby się wstydić swego szczęścia?” – pyta Fryderyk Nietzsche w *Z genealogii moralności*. Precz więc z misericordią! Ale też z cokolwiek mitycznym pojęciem szczęścia niemieckiego filozofa. Mitycznym, bo Nietzsche urodził się chory, chorował, gdy pisał te słowa – i umarł w bezświadości choroby psychicznej i fizycznej. Ale figurki ludzkie z „Pokoju” okazują zdrowie. Więc walą głową w mur, by przebić się ku szczęściu, nie mitycznemu, ale temu zwykłemu. Bo, być może, być szczęśliwym to walczyć o szczęście, jak to zaleca konstytucja Stanów Zjednoczonych.

Może się przebić. Może Sylwester Ambroziak nie zaleca pokory, lecz walkę. Może jednak i stan na klęczkach, i w pozycji wyprostowanej jest jego ujęciem świata, życia każdego człowieka. A wybór należy do ciebie, do odbiorcy jego rzeźbiarskich ekspozycji i filmów. Jaki więc charakter, taki wybór życiowej pozycji: prosto bądź krzywo.

Grzegorz Sasin

PS Udźwiękowienie i animacja: Grzegorz Stępnik.

Sylwester Ambroziak „Misericordia. Instalacja rzeźbiarsko-dźwiękowa/ film animowany” – „Łaźnia” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria, ul. Traugutta 31/33, 5.09–27.09.2014 r.



„Łaźnia” latem

Lidia Ziemińska

W ramach cyklu „Studenci i debiutanci” – można było oglądać latem (8–29.08) w Galerii „Łaźnia” przy ulicy Traugutta w Radomiu wystawę malarstwa i rysunku Mileny Lubach. To studentka trzeciego roku wrocławskiej ASP i absolwentka radomskiego „Plastyka”.

Dwadzieścia parę prac, w większości monumentalnych, o wymiarach dwa, trzy metry malowanych z wielką pasją i bardzo żywiołowo. Przeważnie kompozycje w kolorze to akty, a prace czarno-białe to abstrakcje.

Te dwa tematy, o ile abstrakcję nazwiemy tematem, przeplatają się u autorki. Sporadycznie pojawiają się też postaci zwierząt, a konkretnie psów. Nie nadaje tytułów pracom, pozwalając odbiorcy na swobodne interpretacje i skojarzenia.

Kolorystyka zwykle jest mroczna. Autorka z upodobaniem stosuje czernie jako tła, kontrastując je z nasyconymi różami, czerwieniami i błękitami. Duże płaszczyzny zamalowuje lekko i swobodnie. Z mroku, poprzez kontrasty

wydobywa postacie. Kontrastuje formy i faktury. Akty malowane są z dużą swobodą, farba naturalnie spływa. Widać, że autorce bliższy jest ekspresjonizm. Akty nawiązują do obrazów Georgesa Rouaulta, postacie są „mięsiste”, prawie wylewają się z kartonów. Często autorka łączy prace w dyptyk – prawa i lewa część stanowi jednocześnie prawą i lewą stronę człowieka. Kobiety przez nią przedstawione stanowią wyobrażenie jakichś pra-matek, pra-bogin, podobne do Venus z Willendorfu mają niezwykłą siłę wyrazu.

Autorka swobodnie bawi się formą. Widać to zarówno w kompozycjach figuralnych, jak i w abstrakcyjnych. Mnie bardziej zaciękały, jako mniej dosłowne, jej prace abstrakcyjne.

W jednym z monumentalnych dyptyków abstrakcyjnych, który składa się z dwóch przeciwstawnych kolorystycznie prac, zmierza od bieleli do czerni i odwrotnie, sprawia to wrażenie jakby dwóch pejzaży o rozbudowanej, ciekawej fakturze, z lejącej się farby przypominającej niekiedy łodygi roślin. Delikatne niuanse

czerni i szarości potęgują wrażenie przestrzenności. Zdaje się, że wykorzystuje czasami przypadkowe plamy w sposób bardzo świadomy.

W innych pracach abstrakcyjnych, również czarno-białych, wykorzystuje jako kolor duże obszary białego tła, które budują przestrzeń i zarazem stwarzają wrażenie lekkości całych kompozycji, w których czerni plam jest kładziono bardzo ostrożnie. Przypominają one niekiedy japońskie i chińskie tradycyjne malarstwo tuszem.

W kompozycji o wydłużonym poziomo formacie abstrakcja rozwija się jak sieć. Rysunek jest bardziej intuicyjny i zbudowany z kilku delikatnych linii, którym przeciwstawia mocne, zróżnicowane fakturalnie plamy czerni. Jest jednocześnie w tym obrazie jakaś liryka.

W kilku mniejszych pracach, o formacie 100 x 70 cm, autorka wykorzystuje przezroczystość podłoża (szyba, kalka techniczna), na którym maluje czarną farbą. Ekspozowane pod światło zyskują dodatkowy walor – ujawnia się tutaj warstwowość, czerni nie jest głucha i mato-

wa, ale wibrująca i przestrzenna. Jedna z prac przypomina jeźdźca na koniu wyłaniającego się z czerni, inne – pejzaż wieczorny z rozległym polem lub miasto nocą, z licznymi światłami.

W kolejnym monumentalnym dyptyku, tym razem kolorowym, autorka zderza świat abstrakcji i figuracji. W lewej części pracy obserwujemy wyłaniającą się powoli z tła postać, prawdopodobnie kobiecą. Odczytać możemy zgięte ręce, tułów i nogi, jednak postać nie jawi nam się wprost, ale jako plątanina białych linii i plam. Prawa, szersza część kompozycji jest całkowicie abstrakcyjna: na dużych plamach koloru, wyłaniających się z czerni, rozciągają się białe linie z rozchłapaną farbą. Całość przypomina zaczątki jakiegoś nowego bytu, tworzenia się czegoś, jakiegoś nowego świata.

Lidia Ziemińska

„Marlena Lubach – wystawa indywidualna” – „Łaźnia” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria, ul. Traugutta 31/33, 8.08–29.08.2014 r.

Zapiski muzealnika

Juliusz Narzyński, z Warszawy, z Łodzi, tym razem w Radomiu

Mieczysław Szewczuk

W tym roku (25.04–6.06. 2014 r.) w cyklu wystaw „Mistrz i uczniowie” galeria Łaźnia przy ul. Traugutta prezentowała malarstwo prof. Juliusza Narzyńskiego i twórczość czwórki jego dawnych studentów.

Narzyński (rocznik 1934), absolwent warszawskiej ASP, uczeń Artura Nachta-Samborskiego, kiedyś członek grupy Rekonesans, malarz i rysownik, mieszkając stale w Warszawie, w latach 1973–2004 prowadził pracownię malarstwa w PWSSP (te-

raz Akademia) w Łodzi. Wystawa zatytułowana była „Juliusz Narzyński, z Warszawy, z Łodzi”. Jak poprzednio w tym cyklu, w jednej sali były prace profesora, w drugiej, w trzech kolejnych odsłonach, prace dawnych studentów.

W sali Narzyńskiego – obrazy z okresu blisko 50 lat (1965–2012), głównie dwóch epok, lat 60. XX w. (wtedy otrzymał najważniejsze nagrody, w 1963 r. – II nagrodę

na Biennale Sztuki w Iglesias we Włoszech, na Sardinii, a w 1969 – Nagrodę Krytyki Artystycznej im. C.K. Norwida w Warszawie) – i lat 90. oraz początku kolejnego stulecia. Ten uczeń Nachta – zwrócił na to szczególną uwagę kurator, prof. Stanisław Zbigniew Kamiński w tekście w katalogu – to jeden z najbardziej oryginalnych twórców świata kolorów w polskim malarstwie. Kolorystyki pozornie nieefektywnej, z upływem lat chłodniejszej, gdzie wszystko w odcieniach, których nie potrafię nazwać, jakby poszarzałe – i nawet tony żywsze, miejsca fioleto czy czerwieni, trochę giną. Jak w codzienności. Musimy je odnaleźć i zrozumieć, na co patrzemy, co może się w tej scenarii wydarzyć. Narzyński to twórca surrealistycznego świata możliwych (choć to nie jest pewne, tylko zapowiadanych...) zdarzeń. Sugerują je poetyckie tytuły obrazów (poetyckie – jak znakomite wiersze tylko z kilku słów). Jego słuch na brzmienie słów zwraca uwagę tak, jak wrażliwość na kolor. A patrząc teraz na sztukę jego dawnych studentów, widzę, że prowadził drogą do ich własnej kolorystyki – i aby byli wrażliwi na słowo.

Nie mogę jednak pominąć tu związków artysty z Radomiem; uczestniczył w radomskich Salonach Zimowych, a w 1979 r. w wystawie, którą zorganizowałem w Muzeum Okręgowym, by przypomnieć świetność dawnych Salonów. Kupiliśmy wtedy do kolekcji muzeum jego pierwszy obraz z roku 1960, kolejny – nasz sztandarowy – na targach w Poznaniu: „Cudowny bębenek” z 1965 r. I odtąd artysta przekazywał już jako dary kolejne prace, łącznie 15. Był też inicjatorem stworzenia w Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu kolekcji grupy Rekonesans. Pierwszą wystawę in-

dywidualną w Radomiu miał w galerii Rogatka (2004). Pokazał wtedy pastele, które niekiedy wydają mi się bardziej malarzkie i tajemnicze niż obrazy olejne. Ostatnio (2013) Muzeum Sztuki Współczesnej pokazało duży zestaw jego obrazów na wystawie „Różne światy wyobraźni”.

Spośród czwórki dawnych studentów Juliusza Narzyńskiego dwóch miało indywidualne wystawy w sąsiedniej sali. Konrad Wieniawa-Narkiewicz (ur. 1967), nauczyciel w Zespole Państwowych Szkół Plastycznych im. W. Gersona w Warszawie, był wykładowcą w Bussines School w Warszawie, prowadzi teraz własną szkołę rysunku i malarstwa Malarnia Paryska na Saskiej Kępie, zajmuje się malarstwem, grafiką, projektowaniem... W Radomiu pokazał obrazy abstrakcyjne, zawsze o złożonej kompozycji i wyrafinowanej kolorystyce; w jej odcieniach dostrzegłem bliskość Nachta (jakby dziedziczył po dziadku), ale widzę też wpływ Narzyńskiego, zarówno w kolorystyce (zgaszonej), jak i w tytułach. W drugiej odsłonie w sali uczniów były prace dwójga – malarstwo i rysunek, a także wiersze w książce autorskiej Marleny Szymczyk (ur. 1977), pracującej w Zespole Sztuk Plastycznych im. T. Makowskiego w Łodzi, oraz fotografie z wystaw i obiektów w przestrzeni autorstwa zmarłego kilka lat temu Jakuba Jakubowskiego (1965–2013), utalentowanego artysty, wcześniej dojrzałego, który porzucił twórczość i malował kopie na zamówienie. Inicjatorem przypomnienia jego postaci był Andrzej Brzegowy.

Dla radomian – zapewne – równie ważna jak wystawa prof. Narzyńskiego była prezentacja obrazów Andrzeja Brzegowego (ur. 1962), teraz profesora nadzwyczajnego na

Wydziale Sztuki Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego w Radomiu. Brzegowy tworzy rysunki, obrazy, grafiki, rzeźby, ale tym razem pokazał obrazy, w większości malowane w końcu lat 90. na przewód doktorski; teraz mogliśmy je zobaczyć wszyscy. A jest Brzegowy jednym z najważniejszych w Radomiu twórców. Lepiej znamy jego grafiki, a nawet rzeźby. Tu przypomniał się nie tylko jako twórca o wielkich umiejętnościach rysunku (jest autorem znakomitych autoportretów) i poczuciu proporcji przy komponowaniu obrazu, ale także wyrafinowany kolorysta, twórca własnej gamy.

W tekście zamieszczonym w katalogu Andrzej Brzegowy opisuje historię swoich kontaktów z prof. Narzyńskim i przytacza jego słowa z wywiadu zamieszczonego w jednym z numerów „Sztuki Polskiej”: „Malarstwo – jako próba transcendencji poza czasowe granice życia – jest zatem jedną z form samoobrony przed eg-

zystencją wyłącznie biologiczną. Sądzę, że sztuka to i magia, i mistyka, i »niepojęte«. A wszystko co niewyobrażalne czy niemożliwe prowokuje do nadania temu kształtu, i tak powstaje obraz, którego niezniszczalną i wieczną wartością jest właśnie tajemnica...”. Tym cytatem wskazuje Brzegowy myśl Narzyńskiego, który ujawnił wtedy, jaki sens ma dla niego sztuka. Zapewne nikt z jego dawnych studentów nie sformułowałby już takiego credo.

Ten cytat, który odnalazłem w znacomie opracowanym wydawnictwie, także mnie uświadomił, czym dla Juliusza Narzyńskiego jest malarstwo. Spotykaliśmy się z nim w Radomiu podczas otwarcia wystawy, pierwszej odsłony i promocji wydawnictwa – w roku jego 80. urodzin.

Mieczysław Szewczuk

„Juliusz Narzyński z Warszawy, z Łodzi” – „Łaźnia”, Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria, ul. Traugutta 31/33, 25.04–6.06.2014 r.

Panta rhei, czyli malarze, którym

Robert Utkowski

Z mecenatek różnie bywa. Ogólnie to instytucja potrzebna, ale dawać trzeba umieć. Brać zresztą też. I zawsze pytanie, ile w jednym i w drugim jest podtekstów? Czy dając lub biorąc, nie wyrządzamy krzywdy? Czy zawsze warto dawać, czy zawsze warto wziąć? Prosta odpowiedź brzmi: dawać. Prosta brzmi: brać. Ale w fizyce nie istnieją stany idealne. Proste odpowiedzi też nie. Ta szklanka ma zazwyczaj drugie dno. A czasem, jak śpiewał Kaczmarek, także trzecie i czwarte.

Stałem gościem jednej z radomskich restauracji był, powiedzmy, artysta malarz. Pla-

styk. Powiedzmy, że nazywa się X. X jest osobą prawdziwą, restauracja też i pewnie wiele osób mimo tej nieudolnej próby kamuflażu rozpozna go. To dobry artysta, duży talent. Duży talent wpadał do restauracji na jednego, dwa, może więcej. Ale był taki moment, że nie bardzo miał czym za tego jednego, dwa, a może więcej zapłacić. Czasem udało mu się temu czy innemu gościowi lokalu na szybko sprzedać jedną ze swoich prac. Raczej tych małogabarytowych. Ale im dłużej przychodził, tym więcej było takich, którzy jedną z jego prac już mieli. Zresztą X wyczuwał, jak każdy artysta z darem, ja-

kie rzeczy sprzedają się na niełatwym radomskim rynku lepiej. Na co jest popyt. A na Sztukę przez duże S raczej popytu nie było, bo to może nie ta klientela, może nie ten lokal, może nie to miasto. Więc X zaczął malować małe prace pod konkretnego odbiorcę. Jak była moda na niebieski, malował na niebiesko. Jak na czerwień, to na czerwono. Może pod klienta, epokę, mieszkanie, choć często wcześniej tego klienta ani jego mieszkania nie widział. Nadal z talentem malował, ale już z mniejszymi aspiracjami. Przynajmniej to, co sprzedawał na szybko, żeby zapłacić za tego jednego, dwa czy może więcej. A że klienci lokalu coraz rzadziej kupowali, więc regulował rachunki obrazami lub sprzedawał prace kelnerce lub kelnerowi, kto się tam akurat za barem trafił. Zresztą fajnym ludziom. Uczynnym. Wiedzieli, jak to z X jest, więc w ten sposób pomagali. Trochę pewnie dlatego, że też te prace chcieli mieć. Przynajmniej na początku. Bo ileż w końcu można kupić podobnych niebieskich obrazków? Gdzie je wieszać, eksponować, wystawiać? Kupowali długo, choć nie co tydzień i nie co miesiąc. Ale raz na jakiś czas.

Ale już nie mogą. Już nie mają co z tym robić. Już dom pełny, pokoje pełne, na ścianach nie ma miejsca, w piwnicy też. Rodziny w domach już im wyraźnie powiedziały, co o tym myślą. Wierzą w talent. Ale wiedzą, że ta inwestycja raczej się nie zwróci. To nie Theo, który wspierał Vincenta. Przy okazji, talent Vincenta rozkwitnął, talent X bezpowrotnie chyba rozpuścił się w litrach niebieskiej czy czerwonej farby.

Kiedy kończył się remont małego mieszkania, do którego z żoną i synem mieliśmy się przeprowadzić z jeszcze mniejszego mieszkania, facet, który ten remont robił, przyprowadził sobie pomocnika. Jak się okazało, z okolicy. Mieszkającego dwa domy dalej od tego remontowanego lokum. Niestety, nie pamiętam ani jego imienia, ani nazwiska. Wpadałem od czasu do czasu skontrolować robotę, bo jak się nie wpada, nie spojrzysz i nie podpowiesz, to robota idzie wolniej, a czasem też nie tą ścieżką, którą powinna. Wpadałem, zawsze chwilę

pogadaliśmy. O wszystkim. Okazało się, że ten przyprowadzony ma jakiś talent plastyczny. Po kolejnej rozmowie wyszło, że maluje. W czasie następnej dowiedziałem się, że kiedyś to nawet malował sporo, a teraz to już tak tylko od czasu do czasu. No, szkół nie kończył w tym kierunku, nawet nie wie, co to warte. I może bym tak rzucił okiem, a może bym i co kupił?

Może bym i rzucił, choć się nie znam, ale rzucić zawsze można, pomyślałem.

Przyniósł następnego dnia. Owinięte w gazetę, średniej wielkości olejne malowidło na desce. Dykcie chyba raczej. Bez ram. Nie znam się, ale już na pierwszy rzut oka było widać, że facet ma kompleks. Jak nic. Roboczo nazwałem ten obraz „Marta natura z monstualnym bananem”. Wycyganili ode mnie pięć dych. Dałem się. Trudno. Może byłem jedynym, który docenił ten talent.

Żona kategorycznie zabroniła wieszać to coś gdziekolwiek. Nawet na klatce schodowej, bo przypominałem sobie, że takie rzeczy czasem wisiały na starych klatkach schodowych. Jakieś takie obrazki, morze, góry, plakat Afric Simone’a z futrzanymi butami. Na klatce kategorycznie też nie.

Wyniosłem do piwnicy. Leży tam. Być może ostatnie dzieło zapomnianego malarza, faceta, który przepił swój talent. Bo przepił. Te pięć dych poszło na przelew, jak nic. Pół roku później, od tego, który robił mi ten remont, dowiedziałem się, że tamten drugi nie żyje. Zapił się. Dzieło nabrało wartości.

Czasem myślę, że może gdybym wtedy nie dał tych pięciu dych, nie traciłbym tego kamienia na szczycie, który potem wywołał lawinę. Może to moja wina. W tym kontekście pytanie, które mnie dręczy, brzmi: czy dobrze zrobiłem, dając pięć dych?

Może wystarczyły trzy.

Robert Utkowski



Małgorzata Jagielska

Małgorzata Jagielska

Urodzona w 1989 r. w Kozienicach. W 2008 r. ukończyła Zespół Szkół Plastycznych im. J. Brandta w Radomiu z tytułem absolwenta roku. Dyplom z wyróżnieniem w pracowni reklamy wizualnej u Cezarego Jędrzejewskiego. W 2008 r. uzyskała stypendium im. Jacka Malczewskiego Rady Miejskiej w Radomiu. W latach 2008–2013 studiowała na Wydziale Sztuki Politechniki Radomskiej, przekształconej w tym czasie na Uniwersytet Technologiczno-Humanistyczny w Radomiu. Dyplom z malarstwa w pracowni Hanny Wojdały-Markowskiej. Twórczość z zakresu rysunku, malarstwa, grafiki.

„Maluję autoportrety, bo tak często jestem sama, bo jestem tematem, z którym jestem najlepiej zaznajomiona”.

Frida Kahlo

Portret, obok pejzażu i martwej natury, należy do podstawowych tematów tradycyjnego malarstwa sztalugowego, szkicu malarzkiego, rysunku. Potrzeba zatrzymania wizerunku, przeniesienia go poza horyzont życia ma wie-

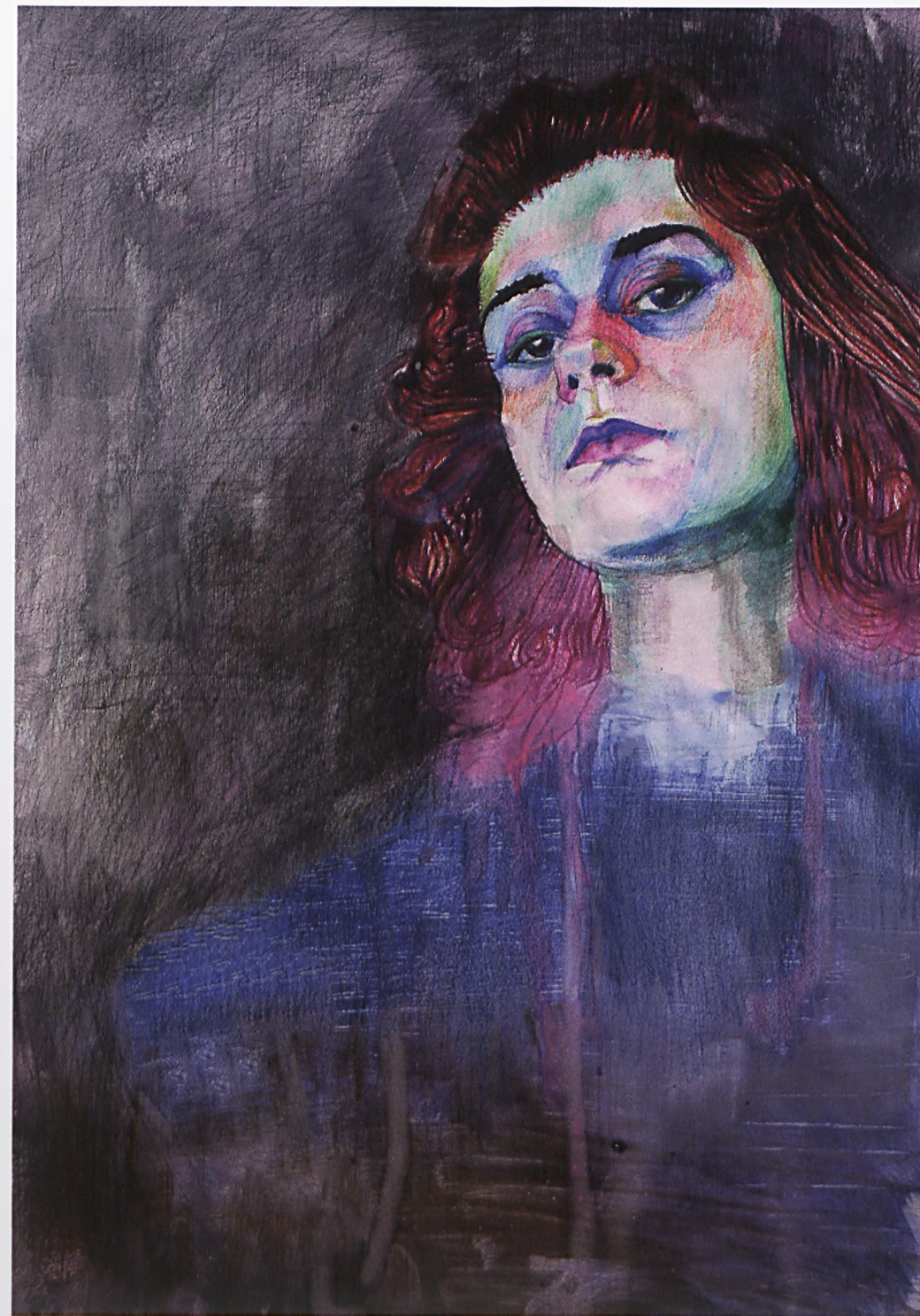
lowiekową tradycję. Portret jako efekt doświadczenia ludzkiej twarzy o cechach osobowych ukazany jest w sztuce na wiele sposobów. Możemy odnaleźć przedstawienia iluzjonistyczne, karykaturalne, idealistyczne czy surrealistyczne.

Nasze ciało, skóra, aparycja, mimika, sposób patrzenia na świat są ściśle związane z naszą tożsamością. Całe nasze życie jest ciągłą przemianą. Każda zmarszczka ma swoje miejsce w okresie przemijania. Twarz wieku dojrzałego jest być może najbliższa pełnej tożsamości i ukształtowanej osobowości. Często starzy ludzie kojarzeni są z brzydotą. Sama, gdy byłam małym dzieckiem, bałam się starych ludzi, ponieważ wydawali mi się przerażający, źli i brzydki. Piękne i młode twarze ogląda się z przyjemnością. Przedstawienia pięknych, wyidealizowanych ludzi kojarzy się z narcyzmem – bardziej lub mniej niewinnym. Jednak kiedy widzimy piękną twarz w realnej rzeczywistości, nie dostrzegamy w tym nic przejawskrawionego, narcystycznego.

Twarze w moich pracach są różne, tak jak różne są dni, nastroje, emocje. Ktoś mógłby stwierdzić, że w niektórych ów narcyzm dochodzi do głosu. Skupiam uwagę na oczach. Nie dlatego, by podkreślić ich walory estetyczne, ale dlatego, że oczy mogą zdradzić wiele informacji o danej osobie i to właśnie one najczęściej komunikują innym o naszym stanie ducha, czy wreszcie o osobowości, o tym, kim naprawdę jesteśmy.

Autoportret to konfrontacja artysty z samym sobą. Pierwsze moje portrety były trudnym doświadczeniem. Ciężko było się zdystansować wobec siebie, swojej twarzy, odkryć ją i przyzwyczaić się do niej. Tworząc autoportrety, chciałam się porozumieć ze sobą, ale także z widzem. Fakt, że w te relacje zamieszany jest jeszcze widz, czyli ktoś postronny, czyni z autoportretu, który gotowa jestem ujawnić, szczególne przedstawienie o intensywnym napięciu. Doszłam do takiego etapu, w którym mogę stwierdzić, że lubię siebie i jednocześnie traktuję siebie z dystansem.

Patrzcie: oto ja! Wyrzuciłam to z siebie. Mam nad sobą władzę. Możecie z tym zrobić co chcecie i tak mnie to nie obchodzi.



M, 2014, kredka/ołówek/gwasz/papier, 42 x 30 cm



Portret 5, 2014, pastel/płyta pilśniowa, 21 x 13,5 cm



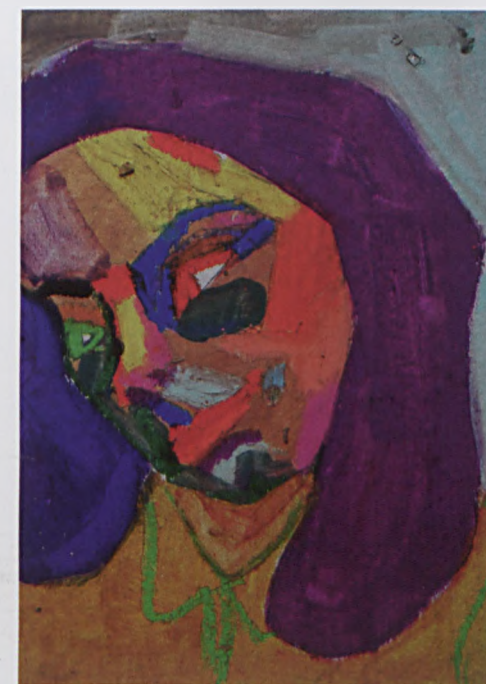
Portret 3, 2014, pastel/płyta pilśniowa, 19 x 14 cm



Portret 6, 2014, pastel/płyta pilśniowa, 21 x 15 cm



Portret 2, 2014, pastel/płyta pilśniowa, 21 x 14 cm



Portret 8, 2014, pastel/płyta pilśniowa, 21 x 15 cm



Makarony, 2013, kredka/papier, 30 x 120 cm



Rozdwojenie jaźni, 2014, kredka/olówek/zagruntowany karton, 42 x 30 cm



Symultанизм, 2014, kredka/olówek/zagruntowany karton, 100 x 70 cm



Maciej, 2014, kredka/olówek/zagruntowany karton, 100 x 70 cm



Burza mózgu, 2014, kredka/ołówek/papier, 29 x 21 cm

Z perspektywy czasu i kilometrów...

Z Czesławem Marianem Krukiem,
radomianinem zamieszkałym w Szkocji,
przyjacielem radomskiej biblioteki i mecenasem
„Miesięcznika Prowincjonalnego”,
rozmawiała Ilona Michalska-Masiarz

Jam częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie dobro czyni...
J.W. Goethe

Urodził się Pan w Radomiu. Czy Pana rodzina pochodziła z tego miasta?

Mama była mieszkanką Radomia, a dziadkowie mieli jakieś pola we wsi Wolica blisko Bartodziejów. Ale to przypadek spowodował, że urodziłem się w Radomiu. Zdecydował o tym jakiś Niemiec. W czasie wojny mama przebywała gdzieś w pobliżu Hanoweru na robotach, a nie była blondynką. Gdy była w ciąży, została wysłana do domu, by swoje polskie dziecko urodzić w Radomiu. Taki był początek mojego związku z tym miastem i miłości do niego.

Oczywiście, nie był to dobry okres do przychodzenia na świat. Trwała okupacja, zima tego roku była szczególnie okrutna, a hitlerowska armia odnosiła sukcesy na Wschodzie. Prognozy na przyszłość małego Cześka, któremu nadano takie imię po ojcu, były kiepskie. Z głodu i zimna mógł długo nie pożyć. Z tego względu ochrzczono go szybko, w kościele Mariackim. Innych planów na życie ludzie w tamtych latach raczej nie mieli...

Jednak przeżyłem. Jeśli nawet jakaś siła chciała źle, to wyszło dobrze. Pokochałem Radom. Zresztą chyba dzięki dzieciństwu w tym mieście, temu, że w czasach mojej młodości na wszystko trzeba było czekać, trzeba było być upartym i umieć sobie wszystko wywalczyć, dotrwałem do dzisiaj i możemy rozmawiać, spotykać się od czasu do czasu w bibliotece...

Ulubione miejsca Pana dzieciństwa? Widział je Pan ostatnio? Jak się zmieniły?

Moje dzieciństwo było trudne, ale ciekawe, pełne niespodzianek, przyjaźni i dzieciennych zabaw. Mieszkalem przy ulicy Traugutta 52, w samym sercu miasta. W podwórku była szkoła podstawowa nr 7 im. Marii Konopnickiej. Dziś został tylko jeden budynek. Zmieniły się także ulice. Wtedy były wybrukowane kamieniami. Nie mogę więc już znaleźć na nich moich dziecięcych śladów. Jedną z ulubionych zabaw było wieszanie się z tyłu konnej dorożki. Gdy dojechało się do ulicy Kopernika, to był sukces, a jak już udało się do Piłsudskiego, to wśród podwórkowych kumpi było się kimś. Często za taką zabawę dostawało się batem, bo koń dorożkarski zaczynał zwalniać z powodu bezpłatnego bagażu.

Pamiętam świetnie ulicę Żeromskiego. Tyle razy się tam chodziło... Bardzo często zaglądaliśmy do Grzeszczyka na kawę, a ciastka kupowałem „u Turka” przy ulicy Piłsudskiego. Nie zapomnę też Rajszuli, bo tam poznałem moją ulubioną dietę szarlotkową...

Za czasów mojego dzieciństwa Radom był dużym miastem przemysłowym. Działo tu chyba z 10 garbarni, fabryka obuwia Bata, Zakłady Metalowe produkujące dla wojska, zakłady przetwórstwa drzewnego, fabryka papierosów (Radomskie były znane w całej Pol-

sce). W pobliżu Traugutta była elektrownia... Choć często z powodu oszczędności światło w mieszkaniach było wyłączane.

Teraz w „Elektrowni” dzięki Andrzejowi Wajdzie jest galeria. Jest uniwersytet, jest „Łaźnia”, w której pocilem się w saunie, a teraz odbywają się tu świetne kulturalne imprezy, o których czytam w internecie. W dzieciństwie czytałem z rodzicami „Życie Radomskie” i czasami „Słowo Ludu”, a teraz mamy tych czasopism więcej.

Radom był kiedyś dużym miastem, w którym królewski dwór zatrzymywał się na dłuższy czas, by odpocząć i dodać elegancji miastu i jego mieszkańcom. Za czasów mojej młodości Radom miał tej elegancji bardzo dużo i ma ją nadal. Choć kiedy jako kilkunastoletni chłopak biegałem po Żeromskiego, Moniuszki, Piłsudskiego czy nawet Rwańskiej, nie zawsze dostrzegałem śliczne fasady domów, podwórka, okoliczne ogrody pełne drzew, w tym owocowych. Doceniam je teraz.

Z perspektywy Szkocji widzę, że miasto się rozwija, pięknieje. Deptak na Żeromskiego jest wyremontowany i wygląda jak deptaki w większości europejskich miast. Co prawda na „Żeromie” nie ma już śladów wydeptanych przez uczniów i uczennice średnich szkół, których tak dużo było w Radomiu. Ale przynajmniej już nie pędzą po niej samochody. Tak, trzeba wierzyć, że miasto wróci do dawnej sławy.

W jednym z wywiadów powiedział Pan, że zawsze kochał książki i lubił bibliotekarki. Do której biblioteki Pan należał?

Książka to wspaniata rzecz, prawdziwa kopalnia wiedzy, w której znaleźć można miłość, radość, smutek, zapomnienie o smutnej codzienności, a nawet szczęście. Po mamie, która, zanim umiałem dobrze czytać, kupiła mi pierwszą książkę z dużymi literami i obrazkami, to bibliotekarki były tymi, które prowadziły mnie do lektury. Biblioteka była w moim życiu drugim domem. Już w podstawówce moja pani od polskiego Maria Masłowska poprosiła mnie, abym pomagał układać książki na półkach w bibliotece szkolnej. Niestety, z mojej winy często były

poprzedstawiane... Teraz to rozumiem. Dysleksję odkryto już po mojej pracy w szkolnej bibliotece. Niemniej byłem prawie codziennym gościem w pełnym ciepłej, serdecznej atmosfery bibliotecznym pokoju. Matka i ojciec pracowali, więc była okazja do ucieczki z domu.

Później była biblioteka Technikum Budowlanego i Miejska Biblioteka przy placu Konstytucji. Panie bibliotekarki były zawsze obecne w moim życiu, pomagały znaleźć potrzebną książkę czy w czasie studiów pomagały radą... Proszę pamiętać, że Google jeszcze się nie urodził. Były więc w moim życiu od zawsze, a oprócz tego potrafiły rozbawić za każdym razem, kiedy z bardzo groźną miną zwracały mi uwagę, że w czytelnicy nie wolno się śmiać ani głośno rozmawiać. Już dla tych spojrzeń warto było tam iść z kolegami, już maturzystami, i kokietować je niepoprawnym zachowaniem.

Z jakich atrakcji kulturalnych korzystał Pan za czasów młodości?

Jak wspominałem, Radom był miastem przemysłowym, ale mieliśmy teatr, kina – Bałtyk, Hel, później Walter, działał międzyszkolny chór pod dyktando niezapomnianej pani Cibor. W porównaniu z obecnym życiem kulturalnym miasta tamto wygląda na zacofane, ale proszę mi wierzyć, korzystaliśmy z każdej możliwości doświadczenia piękna – czy przez wizyty w muzeum i zwiedzanie wystaw, czy przez słuchanie koncertów muzycznych. Proszę pamiętać, że my słuchaliśmy programów radiowych, które nie były bombardowane przez muzykę pop, a telewizja stawiała dopiero pierwsze kroki.

W Pana życiu ważny był też sport. W końcu jest Pan absolwentem Akademii Wychowania Fizycznego...

Zamiłowanie do sportu miałem od dziecka. Zawsze byłem pełen energii, pasjonowała mnie piłka nożna, a później lekkoatletyka. Z moją sportową młodością kojarzy mi się przede wszystkim nazwisko profesora Alfonsa Wicherka. Prowadził lekcje wychowania fizycznego nie tylko w „Chałubińszczaku” i „Kochanowskim”,

ale i w mojej szkole – „Budowlance”. Była więc okazja do rywalizacji i wspólnych gier i zabaw z innymi szkołami. A radomskie szkoły średnie znane były w kraju z tego, że wychowywały dobrych kandydatów na studia.

W Technikum Budowlanym założyliśmy osobny, niezależny klub lekkoatletyczny, później był szkolny klub sportowy, a jeszcze później Czarni – wojskowy klub sportowy. Wszędzie było blisko, nie można było w tym nie uczestniczyć. Po odbyciu praktyk budowlanych wiedziałem już, że budowanie domów nie jest moim celem życiowym. Marzyły mi się podróże. Pomyślałem, że będę mógł wyjeżdżać z klubem sportowym, więc wymyśliłem, że zostanę nauczycielem, a może nawet trenerem. AWF w Warszawie był zatem naturalnym kierunkiem studiów. Koledzy wybrali politechniki, bo chcieli zdobyć tytuły architekta czy inżyniera, ja myślałem o spełnieniu marzeń.

Co sprawiło, że wybrał Pan emigrację?

Wspominałem wcześniej, że w moim życiu wiele wydarzyło się przez przypadek. Jakaś wyższa władza chyba działała... Ale, jak w *Mistrzu i Małgorzacie*, dla mnie z tego zła wynikało raczej dobro.

Emigrowałem nie dlatego, że planowałem, tylko dlatego, że w czasie mojego pobytu za granicą, gdzie miałem zdobyć dane do mojej pracy doktoranckiej, w Gdańsku wybuchły społeczne protesty klasy robotniczej. Emigracja była zatem przymusem, ale następne lata na Zachodzie spełniły marzenia ucznia Szkoły Podstawowej im. Marii Konopnickiej z ulicy Traugutta 52 w Radomiu. Bo tam było dla mnie dostępne nie tylko czytanie tygodnika „Dookoła Świata”, za którym czasami musiałem biegać od kiosku do kiosku, ale zwiedzanie krajów, o których tak barwnie pisywał ty-



fot. archiwum C. Kruka

godnik. Dzięki emigracji poznałem i pokochałem golf. A golf także daje mi możliwość podróży po całym świecie.

Jak ocenia Pan dzisiejszy Radom?

Radom jest ogromny w porównaniu do miasta mojego dzieciństwa. Jest barwny, pulsujący kulturalnymi wydarzeniami, jest ciekawy do zamieszkania czy spędzania czasu o każdej porze roku. Widzę jednak, że przeżywa trudności. Leżąc na przedmieściach Warszawy, musi rywalizować ze stolicą. Lecz władze miejskie powinny wiedzieć, że ma duży potencjał, bo jest położony na międzynarodowym szlaku drogowym, jest atrakcyjny architektonicznie, może być dumny z wielowiekowej historii. Dlatego ich obowiązkiem jest stworzenie warunków do rozwoju. Choćby miejskim instytucjom kultury, aby ich oferta była jeszcze ciekawsza i na dobrym poziomie.

Z perspektywy odległości oceniam moje miasto pozytywnie. Z przyjemnością tu wracam, kiedy to tylko możliwe. Chciałbym przy tym podziękować bibliotece i paniom bibliotekarkom za to, że kiedyś pozwoliły mi mieć ciekawe i przyjemne dzieciństwo. To było i jest ważne miejsce na mojej mapie miasta. Mam nadzieję, że kiedyś władze miejskie zauważą, że trzeba je zmodernizować, by Radom posiadał bibliotekę w siedzibie z prawdziwego zdarzenia, jak przystało na kulturalne, a nie przemysłowe miasto. Tego mieszkańcom Radomia, czytelnikom „Miesięcznika” i sobie życzę.

Mnie z kolei wypada podziękować, bo dzięki Panu biblioteka jest miejscem, w którym trochę więcej się dzieje. Od kilku lat regularnie wspiera Pan działalność tej instytucji: kupuje nowe książki, promuje i dofinansowuje „Miesięcznik Prowincjonalny”, nagradza Bibliotekarza Roku i daje radość dzieciakom – najmłodszym czytelnikom, sponsorując konkurs i spotkania autorskie z okazji Światowego Dnia Pluszowego Misia. Opiekuje się Pan

Miejską Biblioteką Publiczną jak prawdziwy mecenas. Skąd taki pomysł?

Mecenas to poważne słowo i dumne. Teraz już nie żałuję, że nie zrobiłem doktoratu...

W całym życiu zbieramy wiedzę i doświadczenie, ale i rzeczy materialne, prezenty. Dorabiamy się, aby być bogatszymi. Ze mną wcale nie jest inaczej. Ale ja dodatkowo zawsze lubię dzielić się moją radością. Bo przecież przyjemność otrzymywania podarunku i dawania jest w mojej opinii równoznaczna. To, że radomska biblioteka jest i będzie moim ulubionym miejscem, któremu będę przekazywał podarunki nie tylko na mikołaja, wynika z faktu, że jej dyrektorka, pani Ania (jak ją lubię nazywać) była pierwszą osobą, która była zadowolona i wdzięczna za bardzo maleńki podarunek dla instytucji, która tak dużo robi i służy społeczeństwu Radomia.

Czy jeszcze jakaś instytucja zasłużyła na taką Pana przyjaźń?

Próbowałem związać się z innymi, ale albo wykazywały brak zainteresowania, albo spodziewano się, że darczyńca powinien dać miliony. Dyrektor Skubisz-Szymanowska uznała, że moje skromne datki pomogą rozwijać życie artystyczne biblioteki, a nie tylko wypożyczanie książek. Dlatego jestem bardzo dumny, że zaakceptowała mnie – oszczędnego darczyńcę ze Szkocji, byłego wielbiciela radomskich bibliotekarek i przyjęła z przyjemnością małe złotówki. Bo, jak wspominałem, przyjemność dawania równa się przyjemności przyjmowania, nauczyłem się tej prawdy podczas podróży po świecie.

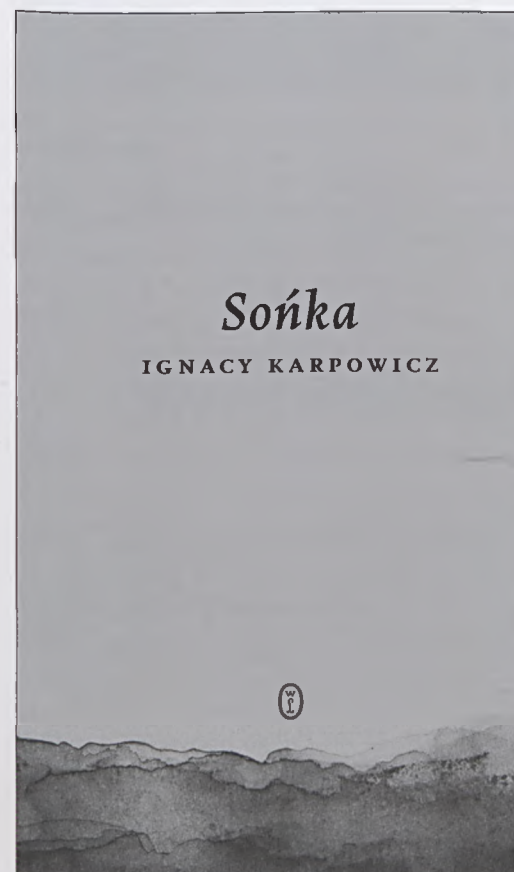
Dziękuję za rozmowę, za to, że nadal jest Pan wielbicielem radomskich bibliotekarek i do zobaczenia w nowoczesnej bibliotece.

Ilona Michalska-Masiarz

Sońka, której nie było

Anna Spólna

Historię Soni z domu Trochimczyk można było opowiedzieć na kilka sposobów. Jako dzieje zakazanego romansu, sagę rodzinną, wojenną epopeję, studium kulturowych uprzedzeń. Historia Ignacego Gryki, alias Igora Grycowskiego, nadawała się z kolei na reportaż o awansie społecznym, kronikę odzyskiwania prawdziwej tożsamości, zbiór anegdot z życia warszawskiej bohemy. W najnowszej powieści Ignacego Karpowicza (zbieżność imion autora i bohatera nieprzypadkowa) mamy wszystkie te strategie narracyjne naraz. Siła i słabość książki tkwi właśnie w jej niedookreślonej formule.



Taka miłość

Kulisty piorun trafia tylko raz. Prawdziwa miłość jest jedna na całe życie – mocna jak śmierć, nieuchronna jak fatum. Autor *Sońki* sięga po taki właśnie archetypiczny wzór, żeby po raz kolejny powtórzyć historię Izoldy, Julii, Ułany, Anny Kareniny i tylu innych. Mit romantycznego uczucia traktuje z powagą i dystansem jednocześnie, pokazując, jak wiele w nim przemocy, okrucieństwa i bezmyślnego dążenia do samozagłady. Gdyby Joachim nie zobaczył sukienki w niezapominajki, gdyby Sońka nie wymodliła sobie jasnowłosego młodzieńca ze stalowymi błyskawicami na mundurze... A przecież oboje, wchodząc w tę „przyszłość bez przyszłości” (s. 61), byli jak skazańcy: ona pokaleczona przez domową przemoc, on wrzucony w wojnę, o której okrucieństwie miał się dopiero przekonać.

Taka wioska

Karpowicz dedykuje swoją książkę – chyba ironicznie – „Dobrym ludziom”. W Królowym Stojle koło Gródka na Podlasiu nie było ich zbyt wielu: gwałcili, zabijali, kłamali, zdradzali i donosili. Nie zapominali krzywdy nawet po dziesiątkach lat, jak Sońka nie umieli i nie chcieli przebaczyć. W powieści nie ma ani jednego przykładu bezinteresownej pomocy. Nawet najlepszy z mieszkańców wioski, Misza, żeniąc się z ciężarną dziewczyną, robi to bardziej dla siebie niż dla niej. Przerażające polowanie na bagnach, gdzie ludzka zwierzyna pada łupem sąsiadów, wieńczy historię wioskowej wspólnoty, z której nie został kamień na kamieniu. A może wszędzie tych dobrych jest równie mało, skoro kadiesz mający skończyć powieść nie może być odprawiony z braku *minjanu*, modlitewnego kworum:

„Może potrzebujemy właśnie ciebie?
Bardziej, niż umiemy poprosić?
W tańcu ciał i cieni?
Właśnie ciebie?” (s. 197).

Taki dramat

Stara szeptucha tuż przed zgonem zdąży opowiedzieć swoje życie pisarzowi z wielkiego miasta, który, na swoje szczęście czy nieszczęście, spotkał ją na polnej drodze. Zepsuty samochód okazuje się dla Igora przepustką do świata dzieciństwa, odgrzebane zostaną zasoby zapomnianych słów *trasianki*, starość zmieszana się z młodością, życie ze śmiercią. Cóż, kiedy posłaniec, jak go nazywa staruszka, słuchając, „dramat układa”. Komponuje scena po scenie, gest po geście sztukę o Sońce, która długo nie zejdzie z afisza:

„*Królowe Stojło* awansowało do dzieła wiekopomnego: stało się polskie, białoruskie i żydowskie; też humanizm, nie zapominajmy zbyt łatwo tego słowa; a także awangardowe i klasyczne; wzruszające, choć niesentymtalne. Zamiast kiczu widziano świadome produkowanie kiczu; kamp nosy i pióra krytyków zwietrzyły, z czego Igor z Ignacym, już pogodzeni, sztafka, się chichrali, bo to tak jakby świadome sra-

nie różniło się kulturowo i kulturalnie od srania po prostu, z potrzeby kiszek lub głodu” (s.78).

Taki smutek

Rzecz w tym, że powieść, która w ciągle jeszcze modny, postmodernistyczny sposób podważa własną wiarygodność i staje się ćwiczeniem w sztuce podejrzeń (Ignacy nie wierzy Sońce, narrator Ignacemu, czytelnik narratorowi), budzi niepokój. Choć Karpowicz wytrąca recenzentom broń z ręki, przewidując, a nawet projektując ich możliwe zastrzeżenia, nie zyskuje wiele. Książka, miejscami piękna, poetycka i symboliczna, czasem brutalna na wzór prozy Jerzego Kosińskiego czy Jonathana Littella, broniłaby się sama. Nie musiałaby kończyć się protestem Soni, która, zamiast zapaść się wreszcie w upragnioną nicość (tam, gdzie wybrzmi „Nic. Nie ma nic. Nie lękajcie się”), powtarza: „*Heta usio ni majo, zusim*”. „To wszystko nie moje, zupełnie”.

Anna Spólna

Ignacy Karpowicz, *Sońka*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014.

Prawda, demon i wesele w radomskim teatrze

Krystyna Kasińska

Sądząc po trzech premierach, którymi rozpoczęto sezon, oraz po zapowiedziach (w październiku XI Festiwal Gombrowiczowski z ciekawymi inscenizacjami i znanymi Nazwiskami, w listopadzie kolejna premiera, słynny musical „Kabaret” na sylwestra), radomski teatr trzyma się mocno. A w wyliczance pominęłam przecież adresowaną do dzieci Scenę Fraszką.

Kochać udręka

Tak opisuje temat przewodni najnowszej inscenizacji Janusza Wiśniewskiego bohaterka

„Dybuka, czyli Demona z Marianpola” – inscenizacji na podstawie „Dybuka”, sztuki Szymona An-skiego rozbudowanej o teksty Cwietajewej, Szekspira, Achmatowej, Marlowa. W folklorze żydowskim dybuk oznacza duszę zmarłego grzesznika, która osiedla się w ciele osoby żyjącej. Sztuka An-skiego opowiada o miłości bogatej Lei i ubogiego Chanana. Ich ojcowie postanowili, że dzieci się pobiorą, kiedy dorosną. Jednak ojciec Chanana umiera i nie zostawia żadnego spadku, a ojciec dziewczyny postanawia zaręczyć ją z godnym konkurentem.



fot. archiwum teatru

■ Postacie ze spektaklu „Dybuk, czyli Demon z Marianpola”, inscenizacja i reżyseria Janusz Wiśniewski

Zrozpaczony Chanan na wieść o zaręczynach oddaje swą duszę diabłu, bo nie chce zrezygnować z uczucia, a potem umiera, a jego dusza wstępuje w Leę jako dybuk. Wprawdzie rabinowi egzorcyście udaje się wypędzić demona, ale ten uprowadza ze sobą duszę dziewczyny.

Jestem fanką teatru Wiśniewskiego. Za każdym razem urzeka mnie gra kolorem, kostiumem, charakteryzacją, muzyką Jerzego Satnowskiego, nienaturalnym marionetkowym ruchem postaci oraz precyzyjnym wklejaniem w fabułę fragmentów z różnorodnych dzieł. Chcesz czy nie, jesteś zmuszony do zatrzymania się i choćby chwilowej refleksji o życiu nieuchronnie związanym ze śmiercią. Tym razem w historię miłości Lei i Chanana wpleciono wątki o niepokoju sumienia jako kary za złamanie danego słowa, naszego przeznaczenia, i postać Sylvii von Harden (pseudonim artystyczny niemieckiej dziennikarki z początków XX w.). To jej portret pędzla Otto Diksa uznano za symbol stanu psychicznego nowej epoki. Zadziwia świeża interpretacja wiersza J. Tuwima „Gran-

de Valse Brillante”, zaś wykorzystanie filmowego przeboju autorstwa L. Starskiego i H. Warsa „Ach śpij, kochanie...” po prostu zaskakuje.

Zafascynowana reżyserskimi pomysłami, obejrzałam spektakl na jednym oddechu. Najbardziej podobała mi się Danuta Dolecka – Śmierć. Początkowo zagubiona i bezradna jak dziecko, z czasem przemieniająca się w rozpasaną kobietę, która kończy jako bezlitosne babsko w swoistym danse macabre z ikonami Sylvii von Harden. Niestety, żadnej z malowniczo ucharakteryzowanych postaci nie udało mi się rozpoznać. Mogę je tylko wymienić, bo na to zasługują: Joanna Jędrejek (Lea porzucona), Małgorzata Mikołajczak (Lea na dzień), Romana Filipowska (Lea śniąca), Katarzyna Dorosińska (Lea „nie ma nadziei”) i Klaudia Kuchtyk (Lea nieobecna). Najmniej przypadł mi do gustu Łukasz Stawowczyk (Chanan-Dybuk). Pozostali panowie (Pan Młody – Piotr Kondrat, Ojciec – Ryszard Mróz), nawet Lea-Panna Młoda (Agnieszka Rose) nie budzą mojego sprzeciwu.

Pospolitość skrzeczy

Ostatnio po raz kolejny obejrzałam w telewizji „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego sfilmowane przez Andrzeja Wajdę. Odrobienie zdumiona stwierdziłam, że wiekowy obraz niewiele stracił na aktualności. Znaczący Wyspiański wielkim artystą był. Tym bardziej zainteresowała mnie autorska inscenizacja Mikołaja Grabowskiego, który w Telewizji Dami zapowiadał, że usunął wątki niepodległościowe (wolność wreszcie mamy), by skupić się na pokazaniu polskiej duszy XXI w. Poszukiwanie jej sedna stało się niejako wizytówką reżysera. Mniej ważne, czy brał na warsztat *Opis obyczajów...* Jędrzeja Kitowicza, czy teksty Witolda Gombrowicza. Troszkę mnie tylko zaskoczyło, że dramat Wyspiańskiego zmieścił się w niespełna dwóch godzinach (z przerwą), ale ciekawość zwyciężyła. Co zobaczyłam? Przedstawienie jakby w rozkroku między dawnymi (Wyspiański) a nowymi (film Wojciecha Smarzowskiego) czasami. Oba dzieła współcześnie uznali za skandalizujące.

Radomskiej inscenizacji skandalu nie wróżę, nieporozumienia tak. Moje pokolenie znało dramat na wrywyki, myślę jednak, że młodzież z trudem zorientuje się, kto jest kim. Szczególnie we fragmencie z widmami, kończącym część pierwszą. Nie sądzę bowiem (nie gene-



■ „Wesele”, inscenizacja i reżyseria Mikołaj Grabowski, scena zbiorowa

ralizując), aby w szkole znalazł się czas na taką analizę dramatu, by inscenizacja stała się czytelną. Obraz społeczeństwa, z przemyśleniem rysowany grubą kreską, przypomina świat z tabloidów, który skupia się na społecznych patologiach, a więc na szczęście jest ułudą. Jednak część widowni reagowała żywiołowo, co świadczy, że lubi sensacje.

Dyżurni „chłopcy do bicia” to: Ksiądz (molestowanie i chciwość), Żyd (pazerność), Kaś-

ka (dziewczyna, która potrafi iść byle gdzie z byle kim), Zosia i Haneczka (panienki z dobrego domu lubią alkohol, może nawet narkotyki i chłopaków), a nadpobudliwa Rachel zachowuje się jak oszołom. Aż się prosi, by do tego „wybitnego grona” dołączyć polityka (najlepiej by tu pasował krewki Czepiec). Sztandar, jaki nad sobą rozpościera, nie ma znaczenia. Paskudne cechy: oskome na dobrze płatny żłób, prostactwo i niezdrowe zapędy seksualne charakteryzują już nie tylko szefów firm i korporacji, ale nawet eurodeputowanych. Dodać jeszcze trzeba butę i wszechobecny alkohol, skutecznie napędzający awanturnicze natury (Gospodarz). Przesadzam? Chyba nie za bardzo. A Wyspiańskiemu marzyło się przecież, byśmy żyli w wolnym kraju: „...Tak, by nam się serce śmiało do ogromnych, wielkich rzeczy. A tu pospolitość skrzeczy...”.

Czy to znaczy, że „Wesele” mi się nie podobało? Przeciwnie, choć nie lubię nadmiernego cudaczenia w dobrych tekstach, a jednowymiarowy obraz społeczeństwa mnie uwiera. Być może o to reżyserowi chodziło...

Podobały mi się: chata przypominająca szarobury dom w blokowisku (zabrakło mi murali albo stosownych napisów), dobór muzyki na weselną dyskotekę i prawie zupełna cisza podczas rozmów ze zjawami oraz scenograficzny cytat z inscenizacji A. Strzeleckiego do piosenki Starszych Panów „Taka gmina”. Nie mam nic przeciwko kostiumom oraz grze większości aktorów, choć niektórzy nie dawali rady z wyraźnym wymawianiem tekstu Wyspiańskiego w szaleńczym tempie charakteryzującym początek spektaklu. A druga część spektaklu zaskakuje, jest spójna, przemyślana. Kolejny dzień wesela. Cierpiący na syndrom dnia drugiego trwają nieruchomo za stołem. Z rzadka pada rzucone w przestrzeń jakieś zdanie. Czasem nawet frazy są ważne, ale reakcji brak. Kiedy zjawia się Jasiek, wprowadźcie bez rogu, ale gotów do działania (biało-czerwona opaska na przedramieniu), nikogo nie może porwać do walki. I choć jakoś scala grono biesiadników, nie udaje się w nich tchnąć ducha, a je-

dynie odrobinę rozkołysać. Wtedy rusza... scena obrotowa. Z jednej strony siedzący za stołem ledwie się kiwają, z drugiej równie leniwie kiwają się w sztok pijani pozostali goście i zawodzą w głos „Siadła pszczołka na jabłoni...”. Tacy jesteśmy?

Górska teoria poznania

Trzecia premiera diametralnie odbiegała klimatem, bo miała przypomnieć, czym jest prawda, pytanie, na które odpowiedzi filozofowie szukają od zawsze. Do jednoaktówki Zellera „Prawda”, wyreżyserowanej przez Zbigniewa Rybkę, najbardziej pasuje mi druga z definicji prawdy rodem z górskiej teorii poznania spopularyzowanej przez ks. prof. Józefa Tischnera, w której twierdzi się, że istnieją trzy prawdy: święta prawda, też prawda i g...o prawda.

Też prawdę – byt możliwy – dobrze ilustruje fabuła sztuki. Akcja splątuje się coraz mocniej między dwoma zaprzyjaźnionymi małżeństwami Michaeliem i Alice (Wojciech Wachuda i Maria Gudejko) oraz Laurence i Paulem (Karolina Winiarek i Marek Braun). Istota powikłań tkwi w nieustannych kłamstwach, prowokujących lawinę słownych nieporozumień w rozmowach o tych samych faktach. Jednakowych oczywiście pozornie. Komicznych zbitek słownych nie brakuje, ale nie sposób ich przytoczyć, bo byłoby tak jak z puentą spalonego dowcipu.

Umowna scenografia (w zmianie miejsca akcji pozwala się zorientować drobny retusz wnętrza – obraz, inaczej ustawione meble) sprzyja skupieniu się na zabawie słowem. Podobnie jak ilustracja muzyczna, rzecz jest bowiem o emocjach. Dobrze tempo spektaklu także jest atutem.

Większe role i zabawniejsze teksty mają panowie, i to oni wiodą prym na scenie. Przede wszystkim Marek Braun, mąż stateczny. Wojciecha Wachudę ponosi ułańska fantazja i staje się mężem piekielnikiem, nadużywającym hołubionych w naszym teatrze „środków” wyrazu: krzyku i szastania się po scenie. Szkoda. Obie atrakcyjne żony (ciut golizny też mamy) są aktorsko słabsze. Wydają się odrobinę bez

fot. archiwum teatru



fot. archiwum teatru

■ „Prawda”, reżyseria Zbigniew Rybka, bohaterowie spektaklu

życia, choć na szczęście i te role niesie tekst. Jednak dykcja (być może skutek tremy) pozostawia nieco do życzenia. Są momenty, kiedy pań prawie nie słychać, a scena przecież mała...

Śmiechu podczas premiery nie brakowało i pewnie go nie zabraknie w trakcie kolejnych spektakli, bo to zgrabnie napisany tekst z Gogolowskim podsumowaniem: „Z samych siebie się śmiejecie...”.

Trzy wrześniowe premiery ułożyły się w myśl porzekadła „Dla każdego coś miłego”. Zwolennikom teatru Janusza Wiśniewskiego, którzy chcą zanurzyć się w jego poetyckim świecie, szczerze polecam „Dybuka, czyli Demona z Marianpola”. Ciekawych, czego Mikołaj Grabowski dopatrywał się w „Weselu” Stanisława Wyspiańskiego, zapraszam na jego autorską inscenizację, zaś zwolenników zabawy w te-

atrze – na „Prawdę” Floriana Zellera w reżyserii dyrektora teatru.

Krystyna Kasińska

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu:

„Dybuk, czyli Demon z Marianpola”. Inscenizacja i reżyseria: Janusz Wiśniewski. Choreografia: Emil Wesołowski. Muzyka: Jerzy Satanowski. Kostiumy: Janusz Wiśniewski, Romana Filipowska. Charakteryzacja: Dorota Sabak. Premiera na Scenie Kotłowni 12 września 2014 r.

Stanisław Wyspiański „Wesele”. Opracowanie tekstu, reżyseria, opracowanie muzyczne: Mikołaj Grabowski. Scenografia i kostiumy: Katarzyna Kornelia Kowalczyk. Światła: Michał Grabowski. Premiera na Dużej Scenie 20 września 2014 r.

Florian Zeller „Prawda” (przekład Barbara Grzegorzewska). Reżyseria: Zbigniew Rybka. Scenografia: Katarzyna Kornelia Kowalczyk. Opracowanie muzyczne: Krzysztof Prałat. Światła: Marek Zielonka, Tomasz Świątkowski. Premiera na Scenie Kameralnej 26 września 2014 r.

Miłosna tęsknota

ks. Mariusz Waldemar Turczyk

Radomski Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego na rozpoczęcie sezonu zaproponował spektakl „Dybuk, czyli Demon z Marianpola” w reżyserii Janusza Wiśniewskiego. Tekst autorstwa Szymona An-skiego w kompilacji z Cwietajewą, Tuwimem, Achmatową i Starskim jest udanym przedstawieniem, które trzyma w napięciu. Wiśniewski zaprezentował nam kolejny obraz w swoim stylu. Dybuk to w folklorze żydowskim duch zmarłego niewiedzący ciało żyjącej osoby.

Dramat Chanana (Łukasz Stawowczyk) jest ogromny, umiera z miłości i tęsknoty do swojej ukochanej Lei (Agnieszka Rose), którą ojciec wydaje za mąż za innego mężczyznę. Jako umarły staje się dybukiem, by być ze swoją ukochaną choćby po śmierci. Z Leą „rozmnożoną” w pięć różnych kobiet o różnych obliczach: kobieta, kobieta „na dnie”, kobieta porzucona, kobieta nieobecna i wreszcie taka, która „nie ma nadziei”. Tu niezwykle ciekawy motyw scenograficzny i plastyczny – pięć aktorek jakby rozmnożonych, a może powielonych... z wymalowanymi twarzami, w kraciastych kostiumach. Cztery czerwone, jedna szara i wszystkie jak manekiny. Wykonują charakterystyczne ruchy, gesty, wszystko to ma swój sens i odnosi się do rzeczywistości człowieka, który żyje na tym świecie.

Ciekawie przedstawiony został dramat rozgrywający się na weselu – panna młoda cierpi z powodu niechcianego zamążpójścia. Ten smutek rozbity jest na kilka głosów. Dziewczyny „kratki” chodzą lub raczej maszerują po scenie i w różnych pozach deklamują wiersze o miłości. Wybrane teksty są piękne, ale najpiękniejszy jest „Hymn o miłości” św. Pawła:

„Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka pokłasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złości; nie cieszy się z niesprawiedliwości,

lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Miłość nigdy nie ustaje, [nie jest] jak prorocтва, które się skończy, albo jak dar języków, który zniknie, lub jak wiedza, której zabraknie (1 Kor 13, 4–8)”.

Dziewczynom towarzyszy Śmierć (w tej roli jak zawsze świetna Danuta Dolecka), która pełni rolę ironizującego obserwatora. Nie można nie wspomnieć o wizji reżysera, niezwyklej spójności połączonych tekstów miłosnych, estetyce wymownych kostiumów oraz ruchu scenicznym – tańczący chasydzi, pięć wariantów panien przemieszczających się po scenie, jak również połączone osobiste demony niešťśliwej Lei.

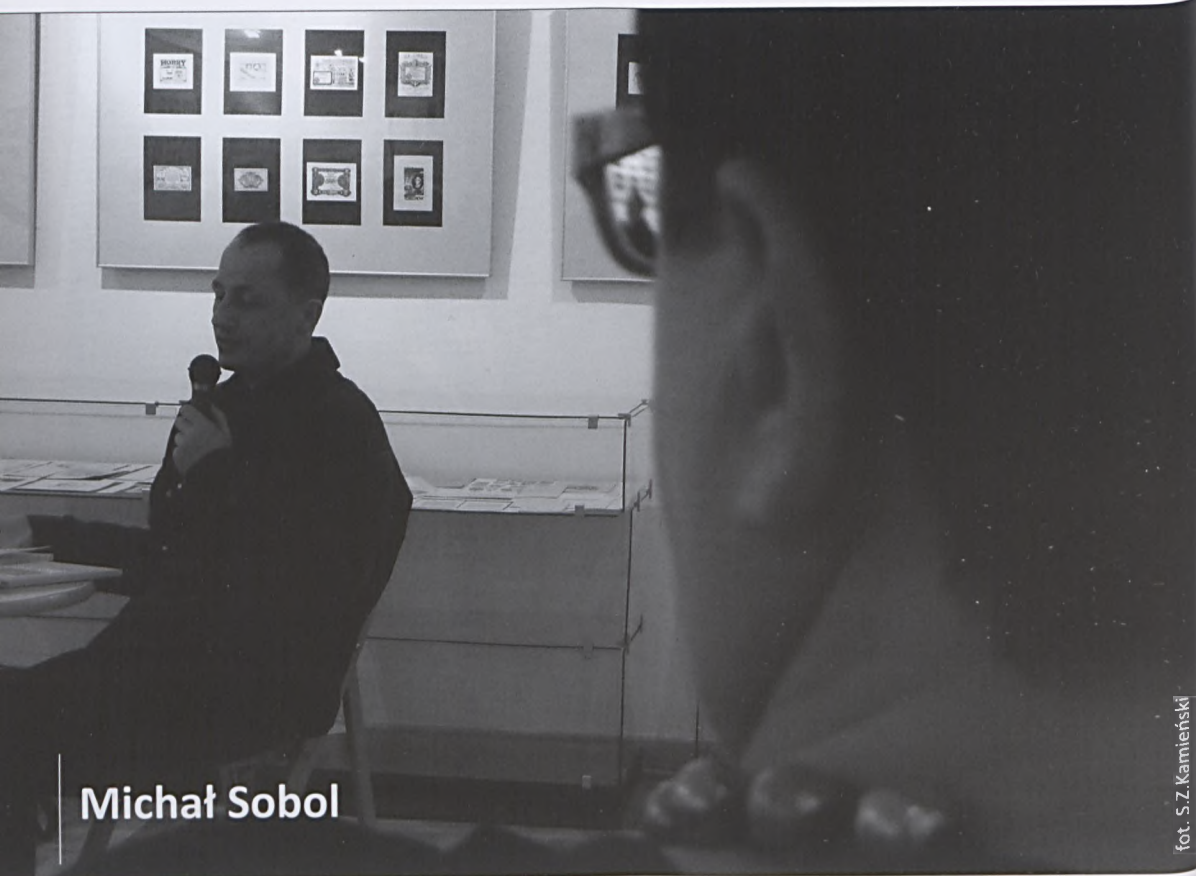
Doskonała muzyka Jerzego Satanowskiego z powracającymi jak mantra motywami, muzyka dzięki której stworzona została atmosfera spektaklu.

Warto wybrać się do teatru, by zobaczyć w kolejnej odsłonie tę miłosną tęsknotę, za którą w życiu codziennym biegniemy, doganiaemy i czasami mamy ją w garści, ona zaś ucieka, opuszcza nas, a my znów tęsknimy...

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu:

„Dybuk, czyli Demon z Marianpola”. Inscenizacja i reżyseria: Janusz Wiśniewski. Choreografia: Emil Wesołowicz. Muzyka: Jerzy Satanowski. Kostiumy: Janusz Wiśniewski, Romana Filipowska. Charakteryzacja: Dorota Sabak.

Scena Kotłownia 12 września 2014 r.



Michał Sobol

fot. S.Z. Kamiński

Michał Sobol – urodzony w 1970 r. w Cerekwi koło Radomia, absolwent Technikum Leśnego w Zagnańsku, ukończył historię Kościoła i filozofię w Krakowie, wydał zbiory wierszy: *Lamentacje* (2001), *Działania i chwile* (2007), *Naturalia* (2010), *Pulsary* (2013). Laureat nagrody im. Kazimierza Iłłakowiczówny za najlepszy debiut poetycki roku, stypendysta Ministra Kultury, jego wiersze tłumaczono na hiszpański, kataloński, włoski, słoweński, angielski, w roku 2012 ukazały się w antologii poezji polskiej w Hiszpanii *Poesia a contragolpe*. Mieszka w Zabierzowie Bocheńskim na obrzeżach Puszczy Niepołomickiej.

Michał Sobol odwołuje się w swojej twórczości do doświadczenia prowincji i życia na wsi, wpisując je w to, co uniwersalne, istotne dla człowieka jako człowieka w ogóle. W wywiadzie Iwony Lompart w książce *Poculiśmy prawo do spełniania marzeń* mówi: „Więc chodzi o perspektywę. Jak my tę lokalność odczytujemy. Literatura musi mieć pewne granice, pewne ramy opisywanego świata. Ale jest ważne, żeby lokalność pozwalała nam spojrzeć dalej. Trzeba w pewnym momencie odwrócić oczy, trzeba się oderwać”.

Jest także laureatem Nagrody Literackiej Miasta Radomia 2013 w kategorii książka literacka za tomik wierszy *Pulsary*, z którego wybraliśmy prezentowane wiersze.

Jego wiersze z tomu *Pulsary* publikowaliśmy w „MP” nr 6 (141), listopad – grudzień 2013. Michał Sobol jest nominowany do tegorocznej Nagrody im. Wisławy Szymborskiej.

Czerwiec 76

Dla dzieciaków, które patrzyły z boku, historia miała rys przygody. Spomiędzy kopek suszonego siana widziałem dym, pies mógł usłyszeć wycie syren. Po kilku dniach znalazłem na strychu oprawiony w kryształ zegar z wystawy, w którą trafił przypadkowy kamień, lecz gdy spytałem – Skąd? – w odpowiedzi usłyszałem tylko: lepiej niech już tam zostanie. Zresztą, w końcu i tak wszystko rozeszło się pałkami po kościach i tylko wujek Wojtek stracił pracę oraz żonę i nie znalazł odtąd żadnej nowej, aż umarł od picia, lecz to było wiele, wiele lat potem i szczeniak nie wiedziałem, że tam czas się zatrzymał.

Wiadomość

Mam sześć lat, stoję, czekam, należy uważać na blade, fioletowe światło w pałkach wodnych, na czarny jak przerobiony olej szlam, w który zapadają się stopy. Jeżeli skoczę, mój brzuch dotknie szkła potłuczonych butelek, ostrych krawędzi puszek po konserwach, kto wie, może zwróconych w górę bron ostatnich gospodarzy tego miejsca. Dno jest pełne wypukłości, o których milczy gładka powierzchnia niewielkiego stawu. Dlatego muszę uważnie wypatrywać innych znaków, szczególnie tych w poszarpanych pałkach wodnych. Mam sześć lat, mój ojciec nie żyje.

Po burzy

Od rana w czystym jak kryształ powietrzu wilga ćwiczy sztukę śpiewu

tymczasem my jak kto może pompami lub wiadrami wylewamy wodę z piwnic

usuwamy szkody w ogrodzie i martwe bydło układamy w stos

ale ani jazgot piły ani chrzęst potłuczonych dachówek i rozbitych szyb

nie jest w stanie zagłuszyć śpiewu wilgi

Idąc wolno przez cmentarz...

Marta Wiktoria Trojanowska

fot. M.W. Trojanowska

„W księdze cmentarza zapisane są sprawy ludzkiego życia i śmierci”.
Jacek Kolbuszewski

Lubię przystawać i czytać je dokładnie. Tak dokładnie jak najciekawszą książkę, choć paradoksalnie, taką czyta się szybko, by jak najszybciej dowiedzieć się, co będzie dalej. Tutaj już wiemy, wszystko jak na dłoni, mamy początek i koniec powieści. Można tylko wypełniać wyobraźnią przestrzeń pomiędzy datami i nazwiskami. Najbardziej paradoksalna ze wszystkich lektur. A przy okazji księga bezdusznym rachunków... Nagrobne tablice... Nigdy nie poddaję się ślepej gonitwie od grobu do grobu, staję i uparcie je czytam...

Oto na przykład grób Edwarda Oblęgora, mijam go często, zmarł w 1956 r. w wieku 26 lat. Niby nic więcej, ale pod spodem koślawo wyryte: „Kochanemu tatusiowi – syn Adaś”. I pierwszy paradoks, bo na pewno nie zdążył być kochanym tatusiem, nie zdążył albo nie był nim zbyt długo, bo miał przecież tylko 26 lat, a Adaś na pewno nawet nie pamięta ojca, który odszedł młodo... Tylko ten napis, że jednak pamięta... Przypomina mi się wtedy nagrobek

dwóch siostr. Stanisława Piechota zmarła podczas wojny w 1941 r., mając 32 lata. Na swoją siostrę czekała po drugiej stronie 45 lat. Leżą z Kornelą we wspólnym grobie, ale zapewne po śmierci ich obu ktoś robiący nagrobną tablicę wyrył tej młodszej napis: *Kochanej siostrze – siostra*. Są jeszcze jedne siostry na radomskim cmentarzu, tym razem bliźniaczki – Basia i Elżbietka. Nie miały możliwości nawet się pamiętać, choć na zniszczonej porcelance pozostały razem, w niemowlęcym wieku, główka obok główki, jedna dobrze widoczna, druga, nie wiedzieć czemu akurat ona – już nie... Przystaję przed nimi często; Basia Szwałkowska żyła tylko siedem miesięcy, Elżbietka trzy lata i sześć miesięcy. Obie odeszły w czasie wojny. Tyle jest na radomskim cmentarzu takich wojennych dzieci, ale siostry Szwałkowskie poruszają mnie szczególnie. Może to przez zdjęcie – wytarte, zniszczone, choć żyją na nim jeszcze, przytulają do siebie, jedna wydartą zrozpaczonej matce niedługo po zrobie-

niu pamiątkowej fotografii, druga po trzech latach... Nie wiem, która jest która, ale Basieńka czekała do końca wojny na wspólne zdjęcie nagrobne ze swoją bliźniaczą siostrą... Romanek Gutkowski może nawet pamiętał płacz swojego braciszka... Jeśli spojrzeć na daty na ich wspólnym grobie, miał dwa latka, gdy 6-miesięczny Januszek zmarł w 1939 r. Ale i Romanek nie dożył końca wojny. Cztery lata później dołączył do brata. Ach te wojenne dzieci... Nawet nie próbuję wypełnić szczęśliwym dzieciństwem przestrzeni między ich nazwiskami, bo tam jest tylko rozdzierający ból matki...

Nie umiem wypełnić jej także, stojąc przed grobem rodziny Odzimków. Ktoś tu okrutnie odwrócił kolejność. Ktoś coś źle policzył, ktoś się pomylił w rachunkach... Powinno być przecież odwrotnie... Rysio powinien żyć długo i szczęśliwie, a na grobie napisać: „ukochanym rodzicom – syn Ryszard”. A nie napisał. Urodził się w złym i bezdusznym czasie, ale zmarł trzy miesiące po zakończeniu wojny, w wieku czterech lat. Mały blondynek z równo przyciętą grzywką... Pod spodem zdjęcie ojca. A pod nim zdjęcie matki. Bolesław odszedł do synka przed żoną. Nie, tak być nie powinno... Nie zostawia się matki. Ktoś tu z pewnością pomylił kolejność. A przecież takich historii jest więcej. Tak jak w małżeństwie Czajkowskich. Patrząc na ich zdjęcie. Dwie szlachetne, choć surowe twarze. Szczególnie jej, bo to jej losy próbuję odczytać, gdy patrzę na ich tablicę. „Tego nie robi się żonie”, nie umiera przed wojną i nie zostawia samej na taki straszny czas. Choć pewnie przeżyli razem wiele szczęśliwych lat, Antoni odszedł od Marii dwa lata przed wybuchem wojny, mając 70 lat, Maria zaś rok po wojnie, przeżywszy dziewięć lat więcej. Przeżyła wojnę sama, musiała ją przeżyć, by zaraz po wojnie dołączyć do męża... Na pewno byli szczęśliwi, trzymali się za ręce na niedzielnych spacerach... więc po co ta wojna. Tak straszne dopełnienie samotnego życia... Wypełniam to życie, wyobrażając sobie codzienną egzystencję zgarbionej staruszki, bo nic już więcej nie „wyczytam” z nagrobnej tablicy... Tak samo jak nie wiem nic o straconej

młodości Heleny Szostakowej, która żyła tylko 21 lat i umarła w 1928 r. Zawsze przystawałam przy jej grobie, bo fascynowała mnie jej fotografia. Młoda, niezwykle piękna, choć czas obeszła się z nią okrutnie, robiąc rysę na spokojnym spojrzeniu, w którym nie było ani odrobiny złości na przyszły los... Domyślam się, dlaczego umarła tak młodo... Prawie usłyszę ten nieludzki krzyk męża, prawie widzę, jak jej głowa opada na poduszki, a dopiero co urodzona Marysia nie płacze... Helena zmarła kilkanaście dni po córeczce, która nie przeżyła dnia... „Bóg tak chciał” – wyryto nad nazwiskami obu – akurat nad ich nazwiskami...

I jeszcze jeden grób, tym razem ojca i syna. Robeczek Kawecki przeżył wojnę, a zmarł tragicznie 20 maja 1945 r. w wieku ośmiu lat. Jego ojciec, Mieczysław Kawecki, dożył słusznego wieku i zmarł 46 lat po synku. Właściwie nic więcej nie dowiem się o nich z nagrobnej tablicy, ale pomaga mi zdjęcie – bo są na nim razem, kilkuletni chłopiec przytulony do ojca. Mały Robeczek czekać musiał na nagrobne zdjęcie tyle lat, ile czekał na swojego tatę... Porusza mnie ta fotografia – ktoś tutaj pokazał paradoks istnienia. Szukam takich historii zastygłych w zdjęciach, datach i nazwiskach. Niepotrzebne tu wcale najlepsze powieści. Gdy chcę poczytać prawdziwą opowieść, idę wolno przez cmentarz...

Marta Wiktoria Trojanowska



Żale nagrobne

Karolina Pacholewicz (1977–2014) urodziła się w Moskwie. Od drugiego roku życia mieszkała w Radomiu, tu uczęszczała do Liceum Ogólnokształcącego im. J. Kochanowskiego. Studiowała na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej, gdzie w 2002 r. uzyskała tytuł mgr inż. architekta i została pracownikiem naukowo-dydaktycznym Katedry Architektury Mieszkaniowej i Kompozycji Architektonicznej. W grudniu 2013 r. obroniła pracę dokorską. Członek Zarządu Oddziału SARP w Krakowie, uhonorowana za pracę społeczną Brązową i Srebrną Odznaką SARP (2009, 2012). Od szkoły średniej związana z Mateuszem Kamińskim, mają 14-letniego syna Wojtkę. Zmarła 25 sierpnia br. w wyniku ciężkich poparzeń odniesionych w wypadku.

fot. Maciej Kamiński

Rzeczy małe radość dające

[...] Wyczerpani dotarliśmy do schroniska, po rozlokowaniu i prysznicu zeszliśmy do sali głównej. Jedliśmy przytargane zupki chińskie, popijaliśmy nalewkami mojego wyrobu, jakiś chłopak zaczął grać na gitarze, pamiętam tylko, że z Mateuszem i Karoliną śpiewaliśmy „Sen Katarzyny” Kaczmarzkiego. Gdyby ktoś mi teraz obiecał powtórkę tego wieczoru, przeszedłbym dużo dłuższą trasę z dużo cięższym plecakiem.

[...] Często trzeba było się solidnie zmęczyć, zmoknąć, obetrzeć nogi czy okropnie upaść. To co otrzymywaliśmy w zamian, w nagrodę za wysiłek, może dla wielu wydawać się mało kuszące czy zadowalające, ale nam właśnie sprawiało największą frajdę. Karolina potrafiła docenić każdy mały znaczący drobiazg, nie musieliśmy o wszystkim rozmawiać, po prostu podobnie odczuwaliśmy. Nadal słyszę, jak mówi: „ale przygoda!” i zwracając się do mnie: „panie kierowniku, co dzisiaj robimy?”. W lipcu wybraliśmy się na wspólne wakacje. Zaliczyliśmy dwie karkołomne trasy, jedną pieszo w strasznym upale na szczyt Śnieżnika i drugą rowerową – podjazd wydawał się nieskończony, na szczycie byliśmy zupełnie wyczerpani, ale po odpoczynku, jadąc grzbietem pasma gór i zaliczając źródło z lodowatą wodą, stwierdziliśmy, że to chyba najpiękniejsza trasa, jaką do tej pory przejechaliśmy. W obu uczestniczyła obowiązkowo Karolina, tak jak uczestniczy w prawie wszystkich najpiękniejszych wspomnieniach mojego życia, jest z nimi niezerwalnie złączona...

Maciej Kamiński

Życzenia do losu

1. Kiedy myślę o Karolinie (a od chwili, kiedy dowiedziałem się o jej śmierci, myślę codziennie, obsesyjnie i katastroficznie, nostalgicznie i sentymentalnie, ciepło i z dreszczem na plecach), przez pamięć moją przewijają się setki, tysiące migawek, wspomnieniowych slajdów ze wspólnych wyjazdów, imprez, koncertów, rozmów, wizyt i rewizyt, seansów filmowych, spacerów. Właściwie całe moje dorosłe życie, które można chyba datować nieco wcześniej niż od symbolicznego ukończenia 18 lat, jej postaci towarzyszyła mi nieustannie, pośrednio i bezpośrednio. Najpierw, najbardziej intensywnie – w liceum, gdy w połowie szkoły, razem z nią i Mateuszem (z którym związała się około matury) stanowiliśmy już załęgę towarzystwa, które wiele lat potem, na potrzeby pewnego artystycznego projektu, nazwaliśmy „Paczka Radomskich”. Zaraz też koło nas pojawiły się inne, ważne w grupie postaci [...]. Ale najpierw, jakoś w połowie drugiej klasy, Karolina, Mateusz i ja. Wtedy właściwie byliśmy nierozłączni. Każde wyjście do kina, każda impreza, każdy wyjazd – zawsze z nią. Nawet wagary – melduje się z nami Karolina Pacholewicz, do której zresztą nikt z nas wówczas nie zwracał się po imieniu. Była po prostu „Łysą”, ze względu na krótko ścięte włosy. I po latach, kiedy nosiła już dłuższe – przydomek ten pozostał [...].

Odejście Karoliny boli mnie nie tylko ze względu na fakt, że przez 21 lat była jedną z najbliższych mi osób, życiową partnerką najlepszego przyjaciela. To trzecia śmierć młodej osoby z „Paczki Radomskich”, po Grześku Kroku – „Gelo” (1997) i Rafale

Kocie – „Atom” (2008). Moje osobiste odczucia, smutek, żal, niepokój, lęk etc. to drobiazg w świetle faktu, że przedwcześnie odchodzi kolejna bardzo wartościowa osoba, mądra, myśląca, nieprzeciętna, wspaniała. *Urbi et orbi* już brakuje takich osób.

Marcin Kępa

Popołudnie z Karoliną

Cały czas łapię się na myśleniu, że się jeszcze spotkam. Że jeszcze będzie okazja, żeby jej poopowiadać, jak to było, kiedy się gdzieś zapodziała [...].

Głupio się przyznać, ale kiedy myślę o Karolinie, jej życiu pełnym miłości, przygód, osiągnięć i zasług, namolnie powraca do mnie powidok jakiegoś leniwego popołudnia: jest nas kilkoro, siedzimy na trawie, popijamy kawę z termosu, wcinamy jajka na twardo, zagryzamy pomidorami. I w tej chwili nie ma nic ważniejszego, niż to, że jesteśmy razem, świeci słońce, pomidory są dojrzałe, a ona – jak zwykle – pamiętała, żeby zabrać sól. Niby wiem, że tego już nigdy nie da się powtórzyć, ale zupełnie nie mieści mi się to w głowie.

Dorota Majkowska-Szajer

Opel zafira

[...] Karolina się śmiała i najmniej wyglądała na ducha. Z jej blond włosami, z jej konkretnością, z czymś mocno jasnym emanującym z niej całej. Naprawdę, można było naprawdę uwierzyć, że to rzeczywistość, którą znamy i doświadczamy, jest wieczna, a nie jakaś tam przereklamowana wieczność. I że nic, nic nie ma takiej siły, żeby tę rzeczywistość wyrzucić. Że wieczna będzie Karolina śmiejąca się za kierownicą, Kamiński na siedzeniu obok, srebrna zafira na jakiejś rozpieprzonej drodze gdzieś w rurytańskim końcu świata, my wszyscy, gniotący się na tylnym siedzeniu i marudzący, żeby się zatrzymać – a to na fajkę, a to na piwo, a to na siku, a to że coś fajnego właśnie mignęło i trzeba zobaczyć. A Łysa miała tę fajną cechę, że jeśli kogoś coś interesowało, to ją też to interesowało. I się zatrzymywała, i przedzierała przez chaszcze, i szła, i słuchała, i mówiła, i nikomu nie przychodziło do głowy, że to się może kiedyś skończyć.

I teraz jedyne, co mogę zrobić, to się wściekać jak dziecko. Na tę cholerną śmierć. Pisać bluzgi pod jej adresem na murze. Albo wkładać do komputera stare karty pamięci z aparatu i przeglądać zdję-

cia z tych wszystkich podróży. Nie wiem, co lepsze, co gorsze, co ma sens, a co nie ma. Nie mam pojęcia. Wiem, że rzeczywistość stała się teraz dziurawa, przetarta, prześwituje przez nią trywialność i brak. Ale jeśli chce się stawić czoła tej bezczelnej śmierci, która jest najwyższym okrucieństwem jakie można wyrządzić istocie obdarzonej świadomością, to trzeba, myślę, spróbować postawić pomnik temu życiu, tej mocnej konstrukcji, tym jasnym blond włosom, które były tak bardzo życiem, a nie śmiercią. I znów próbować żyć pełnią życia. Bo lepszej formy upamiętnienia sobie nie wyobrażam. Ktoś musi dalej jeździć tą zafirą. Kamiński, Wojtek, róbcie prawo.

Ziemowit Szczerek

Kilka słów raptem

Niezwykle ciężko napisać kilka słów o Karolinie, kilka słów raptem. Będąc tak blisko, w zasadzie spotykając się codziennie... Mając podobne pasje, podobne spojrzenie na architekturę, podobne myślenie przy pracy ze studentami, ale też inne poglądy na różne sprawy życiowe. Nie wiem, co napisać, pewnie też dlatego, że to, co się stało, jeszcze nie do końca do mnie dotarło. Czekam z utęsknieniem na początek zajęć na uczelni, na kolejne spotkanie z Karoliną, pewnie znowu będziemy komentować świat, będziemy rozmawiać, porównywać projekty, jakie zrobiliśmy ze studentami. Pewnie znowu pojawi się jakiś projekt, który zrobimy razem. I kiedy przychodzi mi napisać wspomnienie o Karolinie, zaczynam protestować. Przecież za niedługo się znowu zobaczymy. Będziemy żartować i śmiać się. Zawsze tak robimy [...].

Mariusz Twardowski

Są to fragmenty wspomnień przyjaciół Karoliny, całe teksty zamieściliśmy na facebookowej stronie „Miesięcznika Prowincjonalnego”: <http://www.facebook.com/miesiecznikprowincjonalny>

Vie privée

Grzegorz Sasin

Tytuł tego szkicu nawiązuje do tomiku poetyckiego Ewy Nakoniecznej, a zarazem wskazuje trop do jej wierszy: trop francuski. Albo też – Marie Laurencin. Ta francuska malarka inspirowała wersy jej poetyckich wynurzeń. Tak jak obrazy Laurencin, w których króluje cienka, wyrafinowana kreska, trochę jakby z ducha Toulouse-Lautreca, tak też wiersze radomskiej poetki pisane są podobną kreską. Z zaczarowanego świata malarstwa Marie Laurencin Ewa stwarza bardzo paryski świat.

Bo co my tu mamy? Saint Germain de Prés, Renoir, właśnie Laurencin, Chanel – a nawet pytanie, czy Radom może być Paryżem: „Radom bywa ładny./ Zwłaszcza gdy ciepłe lato./ Czas płynie wówczas przyjemnie./ Niestety – przez Radom”.

Francja jest tu potraktowana erotycznie, co sprowadza wiersz „Erotyk na przyszłość” do zmysłowości aury i ciała; un chair jest dominantą tych wierszy. Poetka w krótkim, takim obrazowym rzucie daje syntezę tego, czym jest kultura francuska – właśnie pcią i esprit, jak u Boya.

Jej poezja jest zapisem stanów ducha bardzo wyrafinowanego. Rządzi nimi, obok kartezjańskiego racjonalizmu, klarowność – clarté oraz precyzja wypowiedzi, precyzja w budowie zdania, w przesłaniu intelektualnym.

Poetka poprzez te precyzyjne obrazowe rzuty semantyczne dąży do odzyskania czasu, który umknął. Czasu wczesnej młodości, który został utracony, jakby powiedział Proust (wbrew cokolwiek dziwnemu tytułowi jego po-



fot. archiwum

wieści w polskim tłumaczeniu). Bo czas miga, ale (może) zostaje w oczach, w smaku wiersza: „W Paryżu noc nie jest czarna/ Błyszczą ciemnoskórzy mężczyźni/ Kołysząc saksofonami sięją lekki wiatr/ Nostalgiczny jazz/ Tak trudno tutaj spać/ Jeśli znajdziesz nawet trochę czerni/ To będzie kobieta z neurotyczną orchideą twarzy/ Pobędzie z tobą chwilę/ I także zabierze ci sen”.

Zamykając kwestię – Ewa Nakonieczna w poetyckim radomskim koszu była raczej nietypowa: kochała ulotny cień istnienia i zjawisko-wych ludzi. Kochała miasto (nie tylko Paryż, bo i Kraków, i Radom). To zauroczenie Francją, to umiłowanie języka i smaków francuskiej kultury jest na tle otaczającego nas świata cokolwiek nietypowe, nawet jakby anachroniczne, bardziej pasujące do dawnej, coraz dawniejszej Polski. Ale cóż, każdy dobiera sobie miłości wedle gustu swego, także poetyckiego; może Leconte de Lisle, może Teofil Gautier – l’art pour l’art. Świat jest sztuką, sztuka światem.

Au revoir, Eve...

Ewa Nakonieczna (1958–2014)

Ukończyła LO im. M. Kopernika w Radomiu, potem filologię romańską na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Pracowała w radomskich mediach, m.in. „Echu Dnia”, Telewizji Dami. Współpracowała z radomskim teatrem i biblioteką. Pisała wiersze, dramaty i opowiadania, wydała kilka zbiorów poetyckich. Jej utwory były też publikowane w „Miesięczniku Prowincjonalnym”: nr 1–2 (16–17), styczeń–luty 2000; nr 3–4 (18–19) marzec–kwiecień 2000; nr 3–5 (30–32) marzec–maj 2001; nr 4 (115) lipiec–sierpień 2009.

KRONIKA sierpień – wrzesień 2014

Iłża

10.08.2014. Towarzystwo Ochrony i Promocji Zawodów Ginących zorganizowało Jubileuszowy XX Jarmark Sztuki Ludowej.

Kozienice

30–31.08.2014. Dwa dni trwał Festiwal Muzyki Rozrywkowej im. Bogusława Klimczuka. Grand Prix otrzymała Małgorzata Nakonieczna z Kielc. Koncerty odbywały się w amfiteatrze nad jeziorem. Gwiazdami tegorocznego festiwalu byli zespół Dżem i Ewa Farna.

Orońsko

1.08.2014. W Galerii Oranżeria CRP udostępniona została ekspozycja, na której prezentowane są prace powstałe podczas Międzynarodowych Plenerów LAB ORO w latach 2012 i 2013. Polskę reprezentuje kurator wystawy Bogusław Dobrowolski.

22.08.2014. W pałacu Józefa Brandta w Centrum Rzeźby Polskiej wystąpili Anna Zagdańska – sopran i Robert Grudzień – fortepian. Koncert zorganizowano w ramach festiwalu Radom–Orońsko.

7.09.2014. Bardzo wielu uczestników sprowadziła do Centrum Rzeźby Polskiej impreza „Niespodziewany początek jesieni”. Tym razem goście bawili się w rytmie czardasza i poznawali kulturę Węgier.

Radom

10.08.2014. Podczas festynu „Lato na wsi” otwarto wystawę „Oskar Kolberg (1814–1890). Kompozytor. Folklorysta. Etnograf”.

11.08.2014. Kolejny Festiwal Muzyki Kameralnej i Organowej Radom–Orońsko rozpoczął się koncertem organowym w Kościele Matki Bożej Miłosierdzia przy ul. Miłej w Radomiu. Grał Colin Mark Andrews z USA. Koncert był zatytułowany „Powstanie Warszawskie 1944”.

15–17.08.2014. W Muzeum Wsi Radomskiej odbywał się cykl imprez z okazji Święta Wojska Polskiego zatytułowany „Letni kurs historii Polski w Muzeum Wsi Radomskiej. Muzycznie i widowiskowo”.

24.08.2014. W kościele ewangelickim zagrali Józef Broda – śpiew, trombita, flety i Janusz Kohut – piano, organy. Był to kolejny koncert w ramach tegorocznego Festiwalu Radom–Orońsko.

31.08.2014. Odbył się finał radomskiego festiwalu Parkowa Fest Rock 2014. Pierwsze miejsce zajęła grupa Omni Modo z Poznania. Trwającą całe lato imprezę zorganizowała kawiarnia Parkowa.

31.08.2014. Zakończył się cykl koncertów, które przez całe wakacje organizował MOK „Amfiteatr” pod hasłem „Spotkajmy się na Żeromskiego”. Na pożegnanie lata wystąpił Łukasz Zagrobelny. Na scenie przy „Łażni” występowali w tym roku przedstawiciele różnych gatunków muzycznych: jazzu, rocka, bluesa. Byli też artyści śpiewający szanty oraz utwory operowe i operetkowe.

1.09.2014. W obecności władz państwowych i samorządowych odbyła się uroczystość otwarcia nowoczesnego budynku Zespołu Szkół Plastycznych po rozbudowie i remoncie.

1.09.2014. Przed kościołem garnizonowym odbyły się uroczystości upamiętniające 75. rocznicę wybuchu II wojny światowej. Kombatanci i przedstawiciele władz miasta złożyli kwiaty na Grobie Nieznanego Żołnierza. Wcześniej na lotnisku w Piastowie odsłonięta została tablica upamiętniająca loty bojowe 21. Eskadry Bombowej.

5.09.2014. „Łażnia” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria zaprosiła na otwarcie wystawy „Misericordia. Instalacja rzeźbiarsko-dźwiękowa, film animowany” Sylwestra Ambroziaka oraz na wernisaż wystawy Anny Marii Iwańskiej „Myśli”.

6.09.2014. Pod pomnikiem Jana Kochanowskiego odbyła się kolejna, trzecia już edycja „Narodowego czytania”. Tym razem propagowane było czytanie *Trylogii* Henryka Sienkiewicza. Organizatorem radomskiej imprezy, podczas której przez cztery godziny czytano *Pana Wołodyjowskiego*, była „Łażnia”.

7.09.2014. Z propozycji Muzeum Wsi Radomskiej, które po raz 16. zorganizowało Święto Chleba, skorzystały tysiące gości. Była degustacja pieczywa, ludowe zwyczaje i obrzędy, konkursy i zabawy dla dorosłych i dzieci.

12.09.2014. Teatr Powszechny zaprosił na pierwszą w tym sezonie artystycznym premierę. Wystawiono sztukę „Dybuk, czyli demon z Marianpola” według Szymona An-skiego w reżyserii Janusza Wiśniewskiego.

13–14.09.2014. OKiS „Resursa Obywatelska” po raz kolejny zaprosiła na dwudniowy festyn historyczny „Uliczka Tradycji”. Współorganizatorem imprezy, która w tym roku odbywała się pod hasłem „Awia-cje i Wariacje”, był Aeroklub Radomski.

14.09.2014. W Muzeum im. Jacka Malczewskiego otwarto wystawę „Homo faber, czyli narzędzia dawniej i dziś”. Wystawa została przygotowana w Muzeum Archeologicznym we Wrocławiu.

19.09.2014. W „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii odbyła się promocja książki „Bieślan. Piękne miasto”. Jednym z jej autorów jest radomianin Jerzy Wlazło. Napisał ją wspólnie ze Zbigniewem Pawlakiem.

20.09.2014. Miejska Biblioteka Publiczna w Radomiu po raz dziewiąty zorganizowała otwarty konkurs o tytuł Radomskiego Mistrza Polskiej Ortografii. Konkurs odbył się pod patronatem Rady Języka Polskiego przy PAN. Tytuł mistrzyni zdobyła Anna Krawczyk z Radomia. Drugą nagrodę otrzymała Elżbieta Pogud z Jastrzębi.

20.09.2014. Teatr Powszechny zaprosił na kolejną premierę. Wystawił „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Mikołaja Grabowskiego.

25.09.2014. Wystawa prac Zygmunta Drońskiego została otwarta w Akademickiej Galerii „Lincoln”.

25.09.2014. W galerii Rogatka otwarto wystawę prac Anny Drońskiej.

25.09.2014. „Łażnia” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria zaprosiła na otwarcie wystawy prac Zuzanny Zakrzewskiej. Wystawa zatytułowana „Melancholia” została zorganizowana w cyklu „Studenci i debiutanci”.

25.09.2014. Artysta fotografik Cezary Kowalczyk pokazał swoje prace na wystawie zorganizowanej w Domu Kultury „Idalin”.

25.09.2014. Promocja nowego tomu poezji Moniki Mazur *Kosmogonie* odbyła się w Miejskiej Bibliotece Publicznej.

26.09.2014. W Teatrze Powszechnym znowu premiera. Zaprezentowana została sztuka „Prawda” Floriana Zeller w reżyserii Zbigniewa Rybki.

26.09.2014. Radomianka Katarzyna Bochyńska-Wojdył (sopran) koncertowała w „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii. Recital nosił tytuł „Różne oblicza miłości”.

27.09.2014. Sezon artystyczny rozpoczęła Radomska Orkiestra Kameralna. Do wspólnego koncertowania z okazji inauguracji zaprosiło Trio Stroikowe z Krakowa.

Wierzbica

17.08.2014. W kościele św. Stanisława, biskupa i męczennika, odbył się drugi koncert w ramach tegorocznego Festiwalu Muzyki Kameralnej i Organowej Radom–Orońsko. Nosił tytuł „Jan Paweł II – papież miłosierdzia”. Wystąpili Halina Łabonarska – recytacja, Robert Grudzień – organy.

Wsola

3.08.2014. W Muzeum Witolda Gombrowicza odbył się koncert tang w wykonaniu Anny Dereszowskiej z zespołem Machina del Tango oraz prezentacja wybranych fragmentów „Wspomnień polskich” w wykonaniu Jarosława Rabendy.

Zwoleń

22.08.2014. W Centrum Regionalnym odsłonięto „Genealogię rodu Kochanowskich” wymalowaną na ścianie przy tablicy epitafijnej Jana Kochanowskiego. Autorką dzieła jest Joanna Leśniewska.

28.09.2014. „Prywatne życie bocianów” – to tytuł otwartej w Domu Kultury wystawy fotografii Krysiny Szymańskiej z Puław.

28.09.2014. Z okazji 75. rocznicy powołania Polskiego Państwa Podziemnego i Szarych Szeregów w Centrum Regionalnym Cezary Iwański, historyk i autor monografii o Zwoleniu, wygłosił wykład „Polskie Państwo Podziemne”. Wcześniej w kościele pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego odprawiona została msza w intencji ojczyzny.



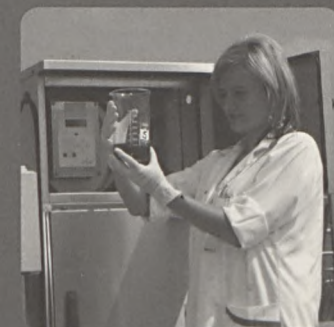
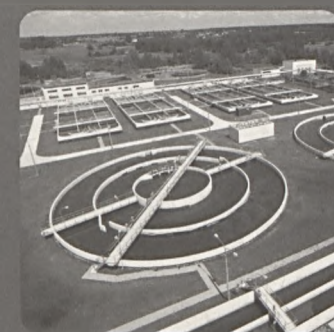
INFRASTRUKTURA
I ŚRODOWISKO
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI

wodociągi
miejskie

UNIA EUROPEJSKA
FUNDUSZ SPÓJNOŚCI



WODOCIĄGI MIEJSKIE W RADOMIU > źródło czystej wody



WODOCIĄGI MIEJSKIE W RADOMIU REALIZUJĄ PROJEKT
„MODERNIZACJA I ROZBUDOWA GOSPODARKI WODNO - ŚCIEKOWEJ
NA TERENIE AGLOMERACJI RADOM – ETAP II”

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Funduszu Spójności w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko

Jerzy Kutkowski • Subiektywny obiektyw

